

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 czerwca 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
46 NUMER PISMA

Sygnaly

dwutygodnik · sprawy spo- łeczne · literatura · sztuka.

STEFAN WODWICZ

„Idea słowiańska generała Żeligowskiego“

W maju b. r. ukazały się w wileńskim konserwatywnym „Słowie“ dwa bardzo znamienne artykuły o idei słowiańskiej pióra generała Lucjana Żeligowskiego, zdobywcy Wilna.

Gen. Żeligowski znany jest Wilnu i Polsce nie tylko ze swych czynów wojennych. „Len, samorząd, idea słowiańska — to są trzy etapy cywilnej działalności generała Żeligowskiego“ — pisze ozonowy „Kurjer Wileński“. Gen. Żeligowski wystąpił z dość skuteczną inicjatywą na odcinku gospodarczym, propagując uprawę lnu, jako sposób podniesienia poziomu gospodarczego wileńszczyzny. Gen. Żeligowski wystąpił również z inicjatywą odrodzenia samorządu terytorjalnego i rolniczego przez jego usamodzielnienie i uniezależnienie od władz administracyjnych. Ozonowy „Kurjer Wileński“ przemilczał jeszcze jeden etap działalności cywilnej generała Żeligowskiego widocznie dlatego, że do tego etapu ustosunkował się sam najzupełniej niewyraźnie, zastępując zwykły entuzjazm wobec osoby generała karnością wobec ozonu. Była to słynna sprawa gen. Żeligowskiego na terenie parlamentu, jego mężne wystąpienie przeciwko propagowaniu przez czynniki miarodajne, wbrew obowiązującej konstytucji — totalistycznej zasady wodzostwa. Obecnie gen. Żeligowski występuje z inicjatywą w dziedzinie polityki zagranicznej, ze swoją ideą słowiańską.

Nie osobą gen. Żeligowskiego chce się tu zająć. Chodzi mi o podjętą przez niego ideę słowiańską i na marginesie tej sprawy o nową twórczą, dalekowzroczną koncepcję polskiej demokracji w zakresie polityki zagranicznej.

„Na wschodzie i zachodzie — pisze generał Żeligowski — piętrzą się chmury, wielkie, gradowe. Dziś czy jutro może rozpętać się burza. Czy w tych warunkach nieliczny naród polski musi tylko balansować, być satelitą obecnej potęgi lub być zdannym na łaskę niepowyżnych sojuszy?“

W tem retorycznym pytaniu mieści się zupełnie przejrzysta krytyka oficjalnej polityki ulicy Wierzbowej, ale także krytyka, może nieco mniej ostra koncepcji polityki zagranicznej polskiej opozycji demokratycznej. Czy w tej krytyce nie tkwi pewne ziarno prawdy?

Z czystym sumieniem możemy powiedzieć, że tak. Dziś polski obóz demokratyczny nie ma jeszcze własnej dalekowzrocznej myśli w polityce zagranicznej. Oparcie o wielkie demokracje Zachodu — koncepcja jedynie słuszna dzisiaj, nie może wystarczyć. Bo wyobraźmy sobie rzecz dość nieprawdopodobną, ale jednak możliwą, że wielkie demokracje Zachodu przestają być demokracjami, przekształcają się w totalnie rządzone państwa o tendencjach agresywnych. Wszystkie albo jedna z nich. Wyobraźmy sobie ewentualność inną, już bardziej prawdopodobną, że w wielkich demokracjach Zachodu dochodzą do władzy przejściowo rządy klasowe grup reakcyjnych, konserwatywnych, że te rządy potrafią izolować politykę zagraniczną swych państw od wpływów mas ludowych, że potrafią sparaliżować ich wolę obrony pokoju, że wreszcie wymanewrują kompromis z państwami totalnemi, poświęcając interesy małych i słabych państw Europy Środkowej i Wschodniej. Co wtedy?

Demokracja polska, obok słusznego hasła sojuszu z wielkimi demokracjami Zachodu musi mieć swoją, bardziej dalekowzroczną koncepcję orientacji zagranicznej, która pozwoli jej w krytycznych momentach i wśród fluktuacji w polityce europejskiej pokierować państwem zgodnie z najwyższymi interesami narodu.

Czy idea słowiańska może być tą koncepcją? Zaczniemy od idei słowiańskiej

interpretacji gen. Żeligowskiego. Jej punkt wyjścia wydaje się fałszywy.

„Toasty rzymskie — pisze generał w artykule z 22 maja — jak wielkie reflektory oświetlają nam sytuację polityczną Europy. Dwa światy: romański i germański, zaprzestają współzawodnictwa, które trwało od tysiąca lat, podają sobie ręce, i na czele 120 milj. ludności włączają wspólny marsz do celów, które określają, jako moralne uzdrowienie Europy. Nie mówią narazie, jakie mają cele polityczne, lecz podział ekonomiczny pozwala nam domyślać się, jakie są te cele“.

W pierwszej części tego ustępu gen. Żeligowski odniósł się z dobrą wiarą do toasty oświadczeń, wodzów imperjalizmu włoskiego i niemieckiego, że reprezentują oni dwa światy: romański i germański. Ale czy słuszne jest utożsamianie imperjum Mussoliniego ze światem romańskim, a Trzeciej Rzeszy ze światem germańskim?

Kryteria rasowe zawiodą tutaj z pewnością. Niema rasy romańskiej, germańskiej, i słowiańskiej. Są tylko odpowiednie grupy językowe, a z pewnym uproszczeniem można mówić o pokrewieństwie kulturalnym. Bo przecież świat anglosaski mimo pokrewieństwa językowego jest tak odległy kulturalnie od kultury dzisiejszych Niemiec, bo przecież w samym świecie anglosaskim mimo tożsamości języka istnieje przepaść między kulturą angielską i amerykańską.

Ale jeżeli potraktujemy nawet te trzy grupy językowe jako pewne całości kulturalne, gdzież prawo Włoch do reprezentowania świata romańskiego, a Niemiec do wyłącznego reprezentowania grupy germańskiej? Niewątpliwie romańska Francja, germańska Anglja i Ameryka Północna znajdują się po przeciwnej stronie barykady, podczas gdy romańskie Włochy i germańskie Niemcy zawierają ścisły sojusz przeciwko pokrewnym sobie narodom. Romańska Hiszpanja ugina się pod najazdem romańskiej Italji.

Niewątpliwie mamy do czynienia z pewnymi uroszczeniami zaborczego imperjalizmu Włoch i Niemiec do tytułów i do sztandarów, do których nie mają prawa, a które są im potrzebne do usprawiedliwienia w oczach świata i własnych narodów dążeń agresywnych. I wiemy, że tak samo panazjatyzm jest obłudnym językiem japońskich imperjalistów, niosących pożogę wojenną w samo serce największego wolnego kraju azjatyckiego. Tak samo idea panamerykańska jest jedynie ideologiczną szatą, łagodniejszego coprawda w przejawach, imperjalizmu Stanów Zjednoczonych do utrzymania swej hegemonji na kontynencie południowo-amerykańskim. Tak samo zresztą panslawizm przedwojenny służył jedynie zaborczym dążeniom caratu.

Czy więc idea słowiańska Polski ma być ukształtowana na obraz i podobieństwo tych pan-izmów. W koncepcji gen. Żeligowskiego pewne myśli zdają się to potwierdzać, inne temu przeczyć. Przedewszystkiem wzięcie za punkt wyjścia rozważań dążeń współczesnych Włoch i Niemiec rzuca na tę koncepcję mocno imperjalistyczne światło. Inny passus z artykułu gen. Żeligowskiego jest dość wątpliwy w swych tendencjach. Przytaczam go:

„Kiedy z jednej strony nam mówią, że „jesteśmy komunistami i mamy 200 milionów ludności“, a z drugiej, że „jesteśmy germanami i mamy 80 milionów“, to nam już nie wystarczy im odpowiedzieć, że jesteśmy Polakami z 30 milj. ludności — musimy przypomnieć, że jesteśmy Słowianami, których jest przeszło 120 milionów w Europie. I tak jak na czele wielkiego Imperjum Rzymskiego stanęli obecnie Włosi,

jak na czele Imperjum Germańskiego stanęli Niemcy — tak na czele Idei Słowiańskiej muszą stanąć Polacy“.

Tak jak Niemcy i Włosi — to zdawałoby się usuwa wątpliwości. A jednak gen. Żeligowski mówi, że Niemcy i Włosi stoją na czele imperjum, a Polacy na czele idei. Skąd ta różnica? Tkwi tu niedopowiedzenie, które pozwala imperjalistom i faszystom oenerowskiego pokroju rozwijać myśl generała Żeligowskiego w kierunku własnym. Tkwi tu niedopowiedzenie, które nie pozwala polskiej demokracji uznać za własną myśl generała Żeligowskiego.

Generał Żeligowski przeciwstawia swoją ideę słowiańską idei panslawistycznej, reprezentowanej przez carat:

„...w Moskwie narody fińskie i turańskie zakładają Państwo Moskiewskie. To nowe państwo staje się bardzo niebezpieczne dla Słowian, szczególnie wtedy, kiedy carowie, korzystając z podziału Słowian, perfidnie ogłaszają moskiewskie państwo państwem słowiańskim. Ten manewr szczególnie się udaje wtedy, kiedy Polska, kołębka i serce słowiańszczyzny, traci swą niepodległość... O Słowiańszczyźnie pamięć prawie zanika. Ten wyraz używa się przez dyplomatów moskiewskich tylko wtedy, kiedy trzeba usprawiedliwić jakieś zaborcze kombinacje na południowym zachodzie“.

I w innym miejscu:

„Następują rozbiory Polski. Wielka idea słowiańska, rozdarta na części, zdeptana i upokorzona, staje się narzędziem carów moskiewskich, którzy nią się posługując, dążą do zagarnięcia Konstantynopola, do kontaktu z cywilizacją Zachodu do obrony „braci Słowian“ i do usprawiedliwienia rozbiorów Polski“.

Nie można w tem miejscu nie przypomnieć, że jednak słowianofilstwo rosyjskie nie zawsze było jedynie narzędziem carskiego imperjalizmu. W swych początkach był to raczej szeroki prąd kulturalny — reakcja na zbyt gwałtowne narzucanie „kontaktu z cywilizacją Zachodu“. Niektóre odłamki słowianofilskie zwracały się nawet przeciw despotyzmowi carskiemu.

Panslawizm w rękach caratu w XIX wieku był narzędziem ujarzmania. Każdy demokratą z tem się zgodzi. Narody słowiańskie, późno rozbudzone do życia narodowego, w połowie XIX w. w swym ruchu wyzwoleńczym ulegały raczej wpływowi reakcyjnym, stając na drodze rewolucji narodowej i demokratycznej niemieckiej, węgierskiej i polskiej. Rola Czechów, Ukraińców, Chorwatów i Słowenów podczas rewolucji 1848 r. umożliwia tryumf reakcji. I później Słowianie bałkańscy w swym ruchu wyzwoleńczym przeciw Turcji i Austrii, łączyli się z najbardziej reakcyjną potęgą na świecie, z pogromcą wszelkiej wolności i demokracji — caratem. Jeszcze w 1914 Serbja dążąc do wyzwolenia pobratymczych Chorwatów i Słowenów spod panowania austriackiego, była tylko narzędziem w rękach carskiej Rosji.

W potępieniu carskiego panslawizmu każdy demokratą zgodzi się z gen. Żeligowskim, chociaż może rozumując nieco inaczej. Ale powstaje pytanie, czy gen. Żeligowski, negując panslawizm carski, nie chce jedynie postawić Polski w miejsce caratu, czy jego idea słowiańska różni się tylko podmiotem, czy także treścią?

Gen. Żeligowski odsądza od słowiańszczyzny nie tylko carat, ale i naród rosyjski, operując ryzykownymi argumentami historjograficznymi o szczepach turańskich i fińskich, które założyły państwo moskiewskie. Jednocześnie jednak dopuszcza do wspólnego stołu słowiańskiego taki twór mieszany szczepowo, jak Wielka Litwa. Czy tylko dlatego, że tamto było ich, a to nasze? Wobec tego nasuwa się podejrzenie,

że cała idea słowiańska miałaby tylko służyć za uzasadnienie agresywnej akcji antyrosyjskiej pod pozorem wyzwolenia Ukraińców i Białorusinów z niewoli turańsko-mongolskiej. Że wreszcie w stosunku do Słowian zachodnich i południowych miałaby być tylko ideologiczną obłonką imperjalistycznych dążeń polskich klas posiadających.

Taki sens idei słowiańskiej gen. Żeligowskiego starają się nadać usłudni interpretatorzy z ozonu i z jego „odprysków i dywersantów“, a ściślej mówiąc prawicowych kibiców. Piotr Lemiesz w ozonowym „Kurjerze Wileńskim“ nadaje myślom gen. Żeligowskiego przedewszystkiem antyrosyjski kierunek i stara się je przykłaść do polityki M. S. Z.:

„Jeżeli chodzi o Ukraińców znane w Polsce twierdzenie braci Bocheńskich na temat korzyści, jakie osiągnęłaby Polska z powstania prawdziwie niepodległej Ukrainy poza jej granicami (podkreślenie moje), mieszczą się doskonale w ramach tej ujętej idei słowiańskiej. W stosunku do Słowian zamieszkujących na południe od Karpat aż do Adryjatyku idea ta stanowi tylko szersze uzasadnienie dotychczas prowadzonej już tam polityki M. S. Z.“.

Wręcz nieprzyzwoity komentarz dodaje do słowiańskiego artykułu gen. Żeligowskiego Stanisław Mackiewicz. Czytamy tam m. in.:

„Gdyby nastąpił rozbiór Czech, to Polska winna odzyskać straconych kilka gmin Śląska Cieszyńskiego, oraz, co dla nas najważniejsze, wspólną granicę z Węgrami... W Czechach widzimy nie tylko jednego z zaborców, który schwylił nam, w chwilach wielkich narodowych trudności, część ziemi polskiej, ale przedewszystkiem sprzymierzeńca najgorszego wroga Polski, t. j. Rosji bolszewickiej“.

Carat moskiewski z idei słowiańskiej czynił narzędzie zaborów i usprawiedliwiania rozbioru Polski. Polscy imperjaliści i germanofile chcą ideą słowiańską usprawiedliwić rozbiór Czechosłowacji, oddanie Słowaczyny Węgrom i wspólną z Niemcami hitlerowskimi wyprawę na Rosję.

Oto do jakich gryzących absurdów może sprowadzić się idea słowiańska w rękach koniunkturalnych słowianofilów z ozonu i konserwy.

Mam wrażenie, że taką ideą słowiańską demokracja polska odrzuci solidarnie i stanowczo. Jakie jednak są realne perspektywy prawdziwej idei słowiańskiej w dobie obecnej? Idea słowiańska nie może wypływać z mistyki rasowej, gdyż rasizm słowiański, podobnie jak wiele innych, jest naukowym absurdem i polityczną obłudą. Idea słowiańska może opierać się tylko na realnym fakcie pewnej wspólności w ogólnej sytuacji narodów słowiańskich Europy Środkowej.

Ta wspólnota wynika z różnych faktów. Przedewszystkiem narodom słowiańskim grozi dziś wspólne śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony odrodzonego imperjalizmu niemieckiego i częściowego włoskiego. Powtórne kraje słowiańskie mają przeważnie charakter agrarno-surowcowy, i stąd wyrasta łącząca je więź ekonomiczna — konieczność utworzenia wspólnego frontu przeciw ośrodkom międzynarodowego monopolistycznego kapitału, narzucającym rozpiętość między światowemi cenami produktów przemysłowych i rolnych. Ogromna większość narodów słowiańskich to chłopcy i stąd płynie dalsza więź społeczno-polityczna, a przedewszystkiem wbrew pozorom wspólne zainteresowanie tych narodów w przywróceniu i utrzymaniu demokracji. Wreszcie narody słowiańskie są sobie bliższe kulturalnie.

Na podstawie tych przesłanek można budować wnioski co do konkretnych form, jakie przybrać może idea słowiańska. Na pierwszym planie może to być zbliżenie kulturalne, gospodarcze i polityczne, na dalszym planie dobrowolna federacja narodów słowiańskich na płaszczyźnie równości i demokracji.

Zbliżenie kulturalne z bratnimi narodami słowiańskimi byłoby zapewne bardziej płodne, niż obecne porozumienie kulturalne polsko-węgierskie, którego głównym owocem jest zalew polskich scen teatralnych przez okropne szmiry węgierskiej produkcji.

Zbliżenie gospodarcze i polityczne jest w obecnej chwili szczególnie na czasie. Najważniejszym, wspólnym zadaniem, które się obecnie nasuwa, jest obrona wysuniętej najdalej na zachód placówki słowiańskiej — Czechosłowacji przed naporem niemieckiego imperjalizmu. I nie spekulacje na rozbiór Czech do spółki z hitlerowskimi najazdami, ale ich obrona jest obowiązkiem każdego zwolennika „idei słowiańskiej”. Nie wolno zamykać oczu na przeszłość i na ten wielki błąd historyczny, który popełnili książęta polscy, zezwalając i pomagając Niemcom ujarzmić i wytopić Słowian połabskich. Widmo powtórzenia tego samego błędu po raz drugi stoi przed nami.

Zbliżenie polityczne narodów słowiańskich może dokonać się tylko na płaszczyźnie wzajemnej równości i demokracji. Inaczej każde zbliżenie, każda federacja musi zamienić się w panowanie silniejszego, a cała idea słowiańska w ideologię tego czy innego imperjalizmu. Obecnie właściwie tylko jedna Czechosłowacja spośród narodów słowiańskich zachowała niesfalszowaną demokrację. Ale poczucie demokracji jest głęboko wrosnięte w psychikę narodu polskiego, a Słowianie południowi będą mogli rozwijać się również tylko w atmosferze równości.

Ponieważ idea słowiańska tak rozumiana nie może być oparta na kryterium rasowym i inne narody obce nam językiem, ale zbliżone sytuacją, nie mogą być wykluczone z wspólnoty słowiańskiej.

Odrodzenie federalistycznej myśli słowiańskiej nie może nastąpić wcześniej, zanim każde z państw słowiańskich nie załatwi sprawy narodowościowej u siebie w domu. Obecnie najbardziej zaawansowana jest w tym kierunku Czechosłowacja, która, co prawda pod naporem okoliczności zewnętrznych, zbliża się do najbardziej demokratycznego rozwiązania swego zagadnienia narodowościowego. Ale i dotychczas Czechosłowacja mimo krzyku opłacanej prasy różnego pokroju — przodowała pod tym względem. Oto kilka faktów: premjerm rządu czechosłowackiego jest Słowak, posłowie z partji autonomistów słowackich, wytaczają czeskiemu ministrowi sprawiedliwości proces o obrazę. Przenieśmy te fakty na stosunki polskie i wyobraźmy sobie Ukrainca lub Białorusina na miejscu gen. Składkowskiego, wyobraźmy sobie, że politycy ukraińscy czy białoruscy pociągają do odpowiedzialności sądowej ministra Grabowskiego. Niemożliwe? Tak.

Musimy to przyznać z ręką na sercu, że dla rozwiązania sprawy narodowościowej zrobiliśmy bardzo mało. Obecnie nie można nawet dowiedzieć się ze źródeł oficjalnych, ilu jest w Polsce Ukraińców i Białorusinów. „Mały Rocznik Statystyczny” poinformuje uprzejmie o składzie narodowościowym ludności Belgji, Szwajcarii, Łotwy, Jugosławji. Jednak z niezrozumiałych powodów w stosunku do Polski statystyka uwzględniła jedynie podział ludności według języka ojczystego na polską i niepolską.

Sprawą białoruską interesuje się w Polsce wogóle niewiele ludzi. Obóz prawicowy chciałby ją rozwiązać na drodze przymusowej asymilacji Białorusinów. Zagadnieniem ukraińskim zajmuje się nawet wielu działaczy konserwatywnych, jak bracia Bocheńscy albo bracia Pruszyńscy. Ale próby rozwiązywania zagadnienia ukraińskiego poza granicami państwa polskiego skazane są na niepowodzenie, niezależnie od tego, czy na ziemiach polskich chce się zachować status quo czy, jak Studnicki, wysiedlić 3 miliony chłopów Ukraińców nad Dniepr.

Rozwiązywanie sprawy ukraińskiej czy białoruskiej poza granicami Polski nieuchronnie łączy się z wyprawą wojenną przeciw Rosji. Poza to na takie rozwiązanie godzą się tylko nieliczne ugodowe grupki klas posiadających tych narodowości, nie mające oparcia w masach ludowych.

A rozwiązanie sprawy narodowościowej na własnym terytorjum, na zasadzie pełnego równouprawnienia i wolności jest kamieniem probierczym wszelkiej idei słowiańskiej.

Stefan Wodwicz

HIPOLIT GRYNWASER

O NAUKOWĄ METODĘ W HISTORJOGRAFII

I

W 1918 roku pisałem we wstępie do „Demokracji szlacheckiej”:

„Historjografia porozbiorowa to najmłodsza i najmniej naukowa z naszych historjografii. Panujący w niej dotąd wyłącznie kierunek biograficzny czy jednostkowo-psychologiczny polega na zajmowaniu się głównie wybitniejszymi jednostkami i ich poszczególnymi wysiłkami, a w dalszej konsekwencji prowadzi do zajmowania się temi dziedzinami życia historycznego, w których jednostka zdaje się odgrywać rolę wyjątkową i twórczą, więc wydarzeniami polityczno-dyplomatycznymi, wojskowymi i administracyjnymi, pomijania natomiast całkowitego tych zjawisk, w których jednostka ogranicza się do roli wskaźnika i świadka ustawań zbiorowych, więc spraw ekonomicznych, społecznych i obyczajowych.

Ten jednostronny w swych skutkach sposób pisania, oparty zresztą na szerszym poglądzie filozoficznym na dzieje, jako na szereg czynów wybitnych i swobodnie działających jednostek, tłumaczy się i ogólnym opóźnieniem nauki historycznej polskiej pod względem metodologicznym, i dydaktyczno-retorycznym nałogiem naszych historyków, i specjalnymi warunkami, w jakich nauka historyczna polska musiała pracować w XIX wieku. Brak do końca niemal wieku XIX bogatych, niezależnych, na zasłukaniu państwowym opartych, instytucji naukowych, któreby organizowały i dopomagały badaczom historycznym w pracy, spychał cały ten trud na barki inicjatywy prywatnej, na majątne i ofiarne jednostki. Ten *meccenasowski system* organizacji pracy historycznej prowadził skolei do wybijania pewnych, nie zawsze ściśle naukowych, rodzajów literatury historycznej, do namnożenia herbarzów, historji rodów, życiorysów wybitnych przodków, biografii, charakterystyk, portretów, jednym słowem dzieł, mających jednostki czy rody przedewszystkiem na względzie. Naukowa książka historyczna zbliżyła się do powieści historycznej, romansu psychologicznego. Gdy później, z powstaniem publicznych instytucji naukowych, wzięto się do badań szerszych, uwzględniano przedewszystkiem wypadki polityczne, dyplomatyczne, wojskowe, wreszcie administracyjne, gdyż na tle ich najłatwiej było snuć po dawnemu delikatne roztrząsania psychologiczne, podziwiać ogrom jednostkowych zamierzeń czy czynów.

Tymczasem historia Polski porozbiorowej powinna być przedewszystkiem historją społeczeństwa polskiego, historją mas i ugrupowań społecznych, historją życia ekonomicznego, społecznego i obyczajowego. Instytucje państwowo-polityczne i administracyjne w wieku XIX przychodziły przeważnie do Polski z zewnątrz i w niewielkim lub żadnym nie będąc związku z układem społecznym i życiem codziennym narodu, słabo tylko ten układ i to życie odzwierciedlały.

Kroniki wydarzeń politycznych i powiślań dyplomatycznych, obrazy instytucji prawno-administracyjnych dziejów narodowych nie wyczerpia, portrety kilku czy kilkunastu ministrów, dyplomatów, jenerałów, przewodców spiskowych nawet po złączeniu całkowitego obrazu życia pokoleń nie utworzą, zwłaszcza, że dotychczas byli ci ludzie przedstawiani nie jako typy społeczne, przedstawiciele pewnych kompleksów interesów zbiorowych, ale jako silne charaktery, umysły lub serca, dochodzące do szczytów czynu przez swe zalety osobiste i dialektyczną walkę wewnętrzną.

Obok historjografii politycznej czasów porozbiorowych, jednostronnej i niekompletnej, jest miejsce na powstanie historjografii społecznej tych czasów, i to nie w sposób dorywczy, przez prace ekonomistów (Grabscy, Kiedroniowa), ale w formie poważnego i świadomego siebie kierunku metodologicznego, przez historyków zapoczątkowanego i rozwijanego“.

II

Minęło dwadzieścia lat. Metoda historji nowożytnej Polski się nie zmieniła. Historja wciąż jest kuźnią jednostek-bohaterów; masa, lud, naród wciąż nie są bohaterami naszej historji.

Weźmy do ręki kolejny zeszyt „Przełomu” lub „Kwartalnika Historycznego”: wciąż roi się w nich od studjów biograficznych, dyplomatycznych i wojskowych; zagadnienia ludnościowe, statystyczne, gospodarcze i społeczne wciąż są starannie omijane.

Weźmy historję powstania styczniowego. Z okazji 75-lecia powstało kilka monografi i dyplomatycznych stosunkach powstania z różnemi, często odległemi krajami, dużym wysiłkiem pracy, nie mniejszym nakładem kosztów, nikomu niepotrzebnych, niczego nie nauczających, nie posuwających naprzód historji jako wiedzy. Prócz tego ukazało się kilka portretów biograficznych.

Każdy wybitniejszy profesor historji ma swojego umiłowanego „bohatera”, nad którego losami, będącymi nieraz epopeją doświadczeń, a niespełnionych zamierzeń, trawi długie lata i herculesowe wysiłki.

Działalność uniwersyteckich seminarjów historji gospodarczej nie zaznaczyła się dotąd, poza kuźnią profesora Bujaka we Lwowie, poważniejszymi wydawnictwami.

W konsekwencji nie są dotąd opracowane zagadnienia istotne i elementarne dla zrozumienia społecznego oblicza Polski po rozbiorach: skład i podstawy materialne szlachty, handel zbożowy w XIX wieku, organizacja i eksploatacja dóbr narodowych, komisja Milkego do oczyszczania włościan w dobrach narodowych (1818—1821), imigracja niemiecka pierwszej połowy XIX wieku, skład ludnościowy i organizacja miast, skład społeczny uczestników powstań.

Dotacje państwowe i publiczne nie dają grosza na opracowanie tych tematów, podczas gdy leżą tysiące złotych na studja historji dyplomatycznej lub wojskowej.

To zacofanie metodologiczne historjo-

grafii jest objawem zacofania społecznego. Większość historyków, ulegając naciskowi reakcji umysłowej i społecznej, odżegnuje się i odgradza od metod opisowo-statystycznej, socjologicznej, pozytywistycznej lub materialistycznej i płygnie na lekkiej, do niczego nie obowiązującej, fali anegdoty dyplomatycznej lub biograficznej. Profesor, mający się za filar naukowości, odgrodził się publicznie na Zjeździe Historyków od „herezji” materializmu dziejowego. W tej koncepcji historja wciąż nie jest wiedzą, nie jest nauką o powtarzających się typowych stanach i poruszeniach zbiorowości ludzkich, częścią socjologii, lecz tylko luźnym nagromadzeniem faktów i fakcików bez składu i związku.

CÉLINE I ŻYDZI

W kwietniowym numerze „La Nouvelle Revue Française” ukazał się artykuł André Gide’a „Les Juifs, Céline et Maritain”. W pierwszej części artykułu Gide omawia ostatnią książkę Céline’a „Bagatelles pour un massacre“.

Wydałem mi się, że krytyka naogół utraciła zdrowy rozsądek, mówiąc o ostatniej książce Céline’a „Bagatelles pour un massacre”. Dziwiłem się, że mogła się tak zapamiętać. Céline wiele ryzykował. Grał na najwyższą możliwą stawkę, jak to zresztą zawsze robi. I nie targował się. Robił co mógł, aby uprzedzić, że nie bierze tego poważnie, że nie jest to niczem innym, jak jazda Don Kichota prosto do nieba.

Wszyscy pamiętamy, jaki hałas wywołała jego dwie pierwsze książki. Prasa zgłupiała i nie wiedziała, jaki wziąć ton. Jedni się oburzali, inni zachwycali. Krzyczano: Genjusz! Albo: Skandal! Książki wynoszono pod niebiosa, albo rzucano do rynsztoka. Widziało się je wszędzie. Przypominam sobie, że widziałem „Śmierć na kredyt” na honorowym miejscu największych i najmniejszych wystaw; nawet prowincjonalne sklepiki z papierami, sprzedające zazwyczaj tylko gazety, wystawiały Céline’a. Wszędzie go było pełno. Nie można było go nie widzieć. Wszyscy o tem wiemy, a najlepiej sam Céline.

Kiedy więc Céline mówi o pewnego rodzaju konspiracji milczenia, o sprzyświeżeniu, które przeszkodziło sprzedaży jego książek, łatwo poznać, że z nas sobie kpi. I kiedy mówi: to żyd jest winien, że książki moje źle idą, to jasne, że robi kawał. A gdyby to nie było kawałem, to Céline byłby nieprzytomnym człowiekiem, podobnie, jak wtedy, kiedy w swoim pogromie zalicza bezładnie do Żydów: Cézanne’a, Picasa, Maupassanta, Racine’a, Stendhala i Zolę. Czego wam więcej potrzeba? Jak wyraźniej zaznaczyć, że to wszystko jest robione dla zabawy? Wtedy nawet, gdy przedstawia siebie jako męczennika. Z wielką elokwencją wyjaśnia, że i on się zna na subtelnościach stylistycznych, że ma wstręt — i tego dowodzi — do „skomplikowanych niemiłotat Goncourtów”, „Prout-Proustów” i „Cmentarzy Valéryego. Robi, co może, aby go nie traktować poważnie. Jeśli się więc ktoś oburza, obiera słabą pozycję — częstą u krytyków — nie bierze bowiem książek takimi jakie są.

Céline jest znakomity w inwektywie. Przyczepia ją do byle czego. Żydotstwo jest tutaj tylko okazją, możliwie najgrubszą i najtrywialniejszą, najbardziej spowszechniałą, pozbawioną odcieni, okazją, która pozwala na sądy najbardziej powierzchowne, na największe przesady, najmniejszą troskę o sprawiedliwość, na najmniejsze ograniczenie się i opanowanie pióra. A Céline najlepszy jest właśnie wtedy, kiedy się najmniej kępuje. W „Bagatelles pour un massacre” mówi o Żydach, jak w „Mort à crédit” mówił o robakach, które stworzyła jego siła twórcza:

„Dzięki naszemu intensywnemu fałom, przekłętą indukcji, dzięki piekielnemu pomysłowi z siecią miedzianych drutów, zniszczyliśmy ziemię!... wywołaliśmy ducha robactwa!... w pośrodku niewinnej przyrody!... Powołaliśmy do życia, w Blème-le-Petit, specjalną rasę w najwyższym stopniu złośliwych stworzeń, okrutnie zgryźliwych, atakujących każdy ząbek, każdą płonkę, każdy korzonek... toczących nawet drzewa! Zbiory, chaty! Skibę! Przetwory mleczne!... nie oszczędziły nic!... Niszczyły, gryzły, rozkładały... Zżerały nawet sochy... Drażniły kamienie, cegły jak fasole! Wszystko, co spotykały po drodze! Na powierzchni, w głębi! Trupa czy kartofle!... Do słowni wszystko“ (,Śmierć na kredyt”, przekład polski P. Starka, t. II, str. 283).

I w tej samej książce wyrażał spazmatycznie nadmiar swego gniewu lirycznego. Cytat jest trochę długi, ale wart przepisania w całości:

„A więc na mnie się wszystko miało skrupić... W każdym razie miałem swój system... Byłem jak „Własna Strzecha“, poddawałem się... Nie stawałem żadnego oporu... Składałem się jak scyzoryk... Posunąłem się jeszcze dalej... Zaskakiwałem ga-

gatka ogromem swojej nienawiści względem obrzydliwa des Pereiresa... Obrzucałem go stekiem wyzwisk... Pod tym względem nikt nie mógł mi dorównać!... Zohydzałem go, piętnowałem, wylewałem nań pomyje! Ostatnia szmata! dwadzieścia razy gorzej! sto razy! tysiąc razy, niż można to sobie wogóle wogóle wyobrazić... Co się tyczy głębi, szczerości, bezmiaru mojego oburzenia, przewyższałem każdego gościa o parę pięt... Wprost nie do wiary, do jakiego paroksyzmu gniewu byłem w stanie samego siebie doprowadzić... Miałem to od mojego papy... i dzięki niektórym śmiesznym przeżyciom... Pod tym względem byłem bezkonkurencyjny!... Jeśli zadałem sobie nieco trudu, kładłem na łopatki najzacietrzewieńszych durniów, przy całym swoim młodym wieku... Odczłodził wszyscy zwyciężeni... najzupełniej olśnieni żarliwością mojego gniewu... odwiecznością żądzy zemsty... Ze łzami w oczach poruczali mi sprawę dokonania harakiri na tym smoku w ludzkiej postaci... Pociąć go na kawałeczki... wrzucić go do jamy... dobrze go wkopać, ażeby można było srać na niego bez końca“ (I. c., str. 125).

Tu otwieram nawias. Przekartkowawszy „Śmierć na kredyt”, uważałem ją początkowo za znacznie słabszą, niż „Podróż do kresu nocy”; przeczytałem z nierównym zachwytem, ale chwiliami — zwłaszcza ku końcowi książki — wprost obłąkałem. Za namową przyjaciela, zabrałem się drugi raz do książki (mówię o „Śmierci na kredyt”), nie opuszczając ani jednego zdania, aby się wkońcu przekonać, że w niczem nie ustępuje pierwszej. Znalazłem nawet miejscami akcenty szczególnej wrażliwości; i nie myślę o portrecie nauczycielki angielskiej, o jej ukrytej miłości, o jej samobójstwie — to wszystko trochę mnie drażni — ale o owej postaci wuja, na początku ledwo naszkicowanej, którą wspomina z wytrawną żręcznością przy końcu książki i która wydaje mi się bardziej nowa od tych — tak świetnych przecież — postaci ojca i matki, albo trochę konwencjonalnej postaci wynalazcy.

Bo Céline nie maluje rzeczywistości, lecz halucynacje, jaką rzeczywistość wywołuje. I dlatego jest interesująca. Któżby starał się rozpoznać poczytywi ogród Tuileryj, chociażby nawet w święto, w następującym opisie:

„Naokoło powstała pustynia. W Tuileryjach ziemia dygotała, huczała, jak krater otchłania i pijakami... W głębinach czeluści i piekła rodzinki nie zapomniały o swoich zapasach żywności. Całe potacie mięsa, poledwicy, nerek skakały aż do ulicy Royal, aż pod chmury... Woń była nieubłagana, trzewia w moczu, rozkładające się już paszteciki... Gdy człowiek oddychał tylko samym powietrzem, to już brał udział w uczcie... Trudno było wymówić się... Niemożliwością było uciec... Droga była przecięta niezdojnymi tamami... wózki dziecinne, wysokie na sześć pięt, wywalone jedne na drugie...“ (I. c., str. 53).

Tak samo przedstawia się sprawa z „Bagatelles pour un massacre”. Nakłada „do wysokości szóstego piętra” błag patetycznych i bez znaczenia, jak — miejmy nadzieję — będzie to robił w książkach następnych.

„Ferdynandzie, ależ ty mówisz w gorączce!... Na miłość boską, ty się urządziłeś!... Z nóg się walisz, słowo daję...“ — każe mówić Gutmanowi, swemu usłużnemu rozmówcy, w jednym z najbardziej udanych dialogów przy końcu książki. I Ferdynand unosi się w zawrotnym liryzmie, wywala wszystkie urazy i wściekłości, ku uciesze czytelników. Pewnych czytelników. Inni uważają, że jest to niewłaściwa zabawa literacka, która przy współudziale głupich ludzi może zakończyć się tragicznie. O ile chodzi o zagadnienie żydowskie, nie zostało ono nawet dotknięte. Jeśli w „Bagatelles pour un massacre” należałoby widzieć coś innego, niż igraszki, to Céline, naprzekór całemu swojemu genjuszowi, byłby bez usprawiedliwienia, iż z takim cynizmem i dezynwolturą poruszył banalne namiętności.

André Gide

TADEUSZ HOLLENDER

LUDZIE i POMNIKI
KSIĄŻKA WIERSZEM

F. Hoesick Cena zł. 2.50

WANDA WASILEWSKA

B A J K A

Nie wierzyć krótkometrażówkom. Polesie to nie tylko parę łódki, stoczonych na pińskim jarmarku. I nie tylko spląceń trzcin, koszonych w takt monotonnej śpiewki. Nie wierzyć przewodnikom — Polesie to nie tylko zbiór nazw takich i innych rzek i jezior, oznaczanych skąpo dwiema czy jedną tylko gwiazdką.

Ale jeśli boicie się nostalgii, głupiej, upartej, nie do zwalczania tęsknoty za tym właśnie a nie innym kawałkiem ziemi, za tym właśnie a nie innym szlakiem wód, tęsknoty dręczącej przez długie dni jesieni, zimy i wiosny, póki nie popękają lody i nie popłynię szeroka, cudowna ziemia niezliczona mnogość poleskich wód w przestrzeni świata — to lepiej nie myśleć wcale o Polesiu. Patrzcie na krótkometrażówki, i niech wam wystarczy odarty z wszelkiego uroku, ubożuchny obraz Polesia z kina, budzący tęsknotę za egzotycznymi krajobrazami dalekich ziem, za gestwą puszczy, w której kwitną storczyki, za rzekami, z których wysuwają się lby hipopotamów.

Gdybyście jednak zdecydowali się na zimową nostalgję — to lakierujcie, smolujcie, uszczelniajcie stary kajak, albo popiespiesznie odkładajcie forsę na nowy. Pomalutku przyszyła wiosna, i płyną w dal poleskie rzeki, i falują w zielonym obrzeżu poleskie jeziora, i nastaje pora dalekich wypraw, plusku wiosel, i pora zachwytów.

Pachnie żywicą Kanada. ryby śpiewają w Ukajali, na świetlistych, mglistych wyspach Hawaj kołyszą się w lazurowym powietrzu pierzaste liście palm. Ale tu, blisko, pod bokiem, oddycha tajemnicą zaczerpnięty świat, ruszczane wody i drzewa z bajki, gąszcz pełne ptasiego trzepotu, ostre krzyk czapli niesie się nad jeziorami bez dna, biały powój rzuca się poprzez czarną toń, grają barwy, blaski, kwitnie ziemia lekkomyślnym przepychem, i napewno wiemy o tem mniej, niż o tajemnicach brazylijskich puszczy, niż o dalekich łąkach i oceanach przez które wyznaczało się drogi na starym atlasie Kozenna w dniach śniącego o wiołędze dzieciństwa.

Wlecie się beznadziejnie pociąg do Kowla. Bez końca stoi po małych, nikomu niepotrzebnych stacyjkach. Wreszcie dociera do dworca. Teraz tylko poszukać krypy — tak przecież jest w planie. Rybacka łódka, na której będzie można spać, i palić w garnku ogień, odstraszały roje komarów. Bo Polesie to przecież beznamiętny, gdzie nie można rozbić namiotu, i gdzie chmury komarów przesłaniają słońce.

Ale krypy niema. Naprawdę lazimy po chałupach nad biotnią, wąską strugą, od której odwracamy oczy, nie chcąc się przyznać do tego, że to właśnie ma być nasza droga — odnaleziona na mapie, wystudjowana w przewodniku Turja. Trzeba zrezygnować z łódki. Znajduje się kajak — wąziutki, długi, prześliczny — i śmiesznie tani.

Nie odważamy się na przystani, gdzie zbiera się odrazu gromada ludzi, siadać w to białe cacko. Ze strachem ładujemy bagaż — osiemdziesiąt kilo — i białe cacko zanurza się niepokojąco. Widzowie z zainteresowaniem lustrują nasze pokaźne osoby. Z determinacją idziemy brzegiem, holując kajak na sznurku. Byle za miasto — byle już nareszcie wiedzieć napewno, że skończyły się dzwoniące telefonów, huk tramwajów, stuk maszyn, że to już naprawdę wakacje i Polesie. Słońce niepokojąco szybko pochyla się ku zachodowi. Ale dość już noclegów w mieście, spania pod dachem — wszystko jedno gdzie, byle rozbić namiot, i zobaczyć gwiazdy nad głową.

Zostawiamy Kowel za sobą. Teraz można zrobić desperacką próbę. Raz — jeszcze kawałek nad wodą. Dwa — kajak zanurza się aż po falochron. Ale nie tonie. Parę ruchów wiosel — i już jesteśmy na wodzie, prawdziwej, wolnoitko płynącej wodzie. Predko zapada wieczór. W oddali widać jeszcze domy Kowla — ale to trudno. Na samym brzegu, na wykoszonym z trzcin placu rozbijamy namiot.

A wtedy opływa nas cisza. Niepojęta, nieprawdopodobna cisza. Bez szmeru płynie woda. Bez szmeru stoją sztywne pióra trzcin w mierzchnącym powietrzu. Schodzi na ziemię wieczór, niedostrzegalnie, bez blasku i barw topi się w dalekiej szarości okrągłe słońce. Wtedy, trzymając twarz tuż przy ziemi, zobaczyć można tajemnicę wieczoru — na żółtobiałej trawie pojawia się rosa. Nagle zielone piórko przechodzi w dreszcz. Błyska srebrzyście maleńka, okrągła kropelka. Druga i trzecia. W parę chwil cała łąka lśni szronem rosy. Zdumiewające misterjum, budzące w sercu drżenie — narodzin rosy, która dotąd zjawiała się niepostrzeżenie, była, istniała, zjawiała się niewiadomo kiedy, i niewiadomo kiedy ginęła spowrotem. To drżenie trawy, żywej, zielonej istoty, kiedy obciąża ją chłodna kropelka wprowadza człowieka w jakiś inny, bajeczny świat, i w tym bajecznym świecie trzeba już zostać — na długo.

Bo oto zaczyna z łąk wstawać mgła. Płynię od wody zwiewnym tumanem, i kłębi się między trzcinami, rozsuwa na pasma, oplatające wikliny, gestnieje, staje się coraz bardziej materjalna. Jeszcze z początku błyskają spoza niej światelka z okien chałup we wsi Werbki, ale potem zawleka się wszystko mleczną, gestną wata. Brodzimy w tej mgle ostrożnie, wysoko podnosząc stopy, jakby się można było zaplątać w białej gestwinie, przymrużając powieki, bo jej

dotyk kładzie się na oczach wilgotny i puszysty. Nisko osiada mgła — zakrywa majaczące w mroku budynki Kowla, okrywa płachtą niedaleką wieś, namiot staje się niewidzialny o pół kroku. Ale wyżej wysiłek się niebo orgją gwiazd nad cichą, niewidzialną ziemią. Bezgłosa noc we mgle, pod niebem bez jednej chmurki, czarną otchłania, mrugając złotymi oczyma.

Ranek wstaje srebrny od rosy. Coraz niżej osiada biały puch, już nie czuć na twarzy wilgotnego dotknięcia, a jeszcze nogi płaczą się w potarganych wstęgach, w wsiakających w ziemię białych zwojach. Aż się wynurzy z bieli czysty obszar dalekich łąk — i tylko jeszcze na nadbrzeżnej wiklinie pokutuje długo chwiejne, białe pasemko, aż i ono stopnieje w słońcu.

Złotem słońcem wstaje dzień na wodzie. Łażą po brzegu boćki, powoli, poważnie schylając okrągłe głowy. Z wysokiego brzegu — pac — skacze w kajak żaba. Siada na dziobie — żaba z Andersena, zakłeta księżniczka. Zielona, wielka żaba w czarnej plamy, uważnie patrzy wypukłymi, złotymi oczyma. Tylko poczekać chwilę, a odezwie się ludzkim głosem. Jesteśmy przecież w kraju z bajki i nic nie wydaje się tu zbyt nieprawdopodobne.

Daleko, daleko rozpościera się zielony kraj. To tu, to tam kępy drzew, błyskają spomiędzy nich kopuły zielono-niebieskich cerkiewek. Tuż spod dzioba kajaka zrywa się ciężkim lotem dzika kaczką i zapada w trzcinę. Za nią druga. Szamoce się długo w sitowiu.

A Turja zmienia oblicze. W fantastycznych zakrętach przemierza łąki, ścisła się w gardziel waziatkiwego przejścia, żeby się rozlać szerokiem, błękitnym jeziorem, zakwitającym bielą grzybieni. Szeleszcza wysokie, sztywne trzcinę, gładką powierzchnię wody marszczy zagną lśniące w słońcu, rozchodzące się daleko kręgi — plusnęła ryba. Z szelestem i szumem przeciska się kajak przez zarosłe wodnem zieliskiem przemyki — i sunie równiutko, bez szmeru po wolnych splachach wody, przemyka się nad czarnymi dziurami beznadziejnych rozpadlin, żeby za chwilę szorować dnem o piach mielzin.

W nadbrzeżnej zieleni biały, nieruchomy kształt. Jak wbity kolec. Ale wtem kolec porusza się — i z szelestem wznosi się w górę czapla. Skrzydła jak płachty — prześliczny kształt na bezchmurnem tle nieba.

Tyle rzeczy wyobrażało się sobie w dzieciństwie — i nie spełniły oczekiwań, kiedy wreszcie danem było je oglądać. Ale czapla jest właśnie taka, jaką się zna z odległych lat, z dzieciennych wyobrażeń — nie ta, co to „chodzila po desce, opowiedzieć ci jeszcze”, ale czapla z bajek, i czapla z powieści, atakowana przez myśliwskie sokoły, czatująca na ryby na wybrzeżach nieznanymi rzek. Skrzydła jak sztandar — i majestatyczny lot, jak pieśń nad obszarem wód.

Namiot rozbity na wysokim wybrzeżu, wysepce w petli rzeki. Teraz po raz pierwszy zawleka się chmurami niebo, i idzie horyzontem daleki, nieustanny huk. Przelewa się grzmot, cichnie i potężnieje, trwa w struchlałym powietrzu. Aż rozświetli płótna namiotu jaskrawy blask błyskawicy, i to światło już nie gaśnie. Blednie i wznaga się, wybuchu na niebo olbrzymim reflektorem, mruga daleką luną. Dygoce ziemia. W oslepiającym blasku, w ogłuszającym huku gubi się świat. Dmie wiatr, z szelestem leca, skręcając się po ziemi suche, skoszone trzcinę. Dygoce namiot, sieczony gwałtownym deszczem. Straszliwa, nieprawdopodobna noc, szatańskie weselisko nad struchlałym światem. Błyskawice, które nie gaśnie, i grzmot, który nie ustaje, zawierucha, która zda się zmieścić wszystko z powierzchni ziemi. Wydaje się, że tam, za bezpieczną, wątlą ścianką namiotu podnosi się wysoko woda, że uderzy nagle, spieniona i olbrzymiejąca, w małą wysepkę, zaleje, przejdzie po niej, że na rano cała równina zryta gromami popłynię burą, wzburzoną falą oszalałej rzeki. Strach wyjrzeć — w blasku niegasnącem, w czerwono-złotej lunie wyjawiają się oczom rzeczy niesłychane, świat zwiódów i upiorów, odkłęty, rozpętany, puszczony na wolność z zakamarków piekieł.

Ale wiatr cichnie, gaśnie blask, ustaje deszcz, jeszcze tylko mruczy dalekiem echem turkot gromów — jakby odjeżdżał po bruku naładowany ciężko wóz — tak przecież zresztą było w baśniach dzieciennych dni — toczy się niebem wóz, grzmią podkowy niebieskich rumaków, dudnią koła niebieskiego wozu, wieszcząc światu zagładę —

I znów jest dzień, wymyty, słoneczny, błękitny, zielony i złoty. Dalej płynię w świat Turja, i kołyszą się trzcinę, i trwa nad ziemią cisza, jakby nigdy nie było gromowej i wichrowej nocy.

Za Chocieszowem wpływa Turja w tunel zieleni. Wysoko nad czarną głębią trzcinę i krzaki, po których pnę się biały powój o kwiatach wielkich, jak ogrodowe lilje. Smigają gestwą male ptaszki, zrywają się czaple, razporaz trzepotem wznosi się kaczką. Korytarz wąski, dróżka w niewiadome, nie chce się poruszać wionkami, żeby nie ploszczyć czaru. Wolniutko sunie kajak — za każdym zakrętem nowy czar i nowe piękno. Zaczyna się i kończy świat czarna woda, zabitym murem pieniących się zielenią gąszczu, wąskim szlakiem czystego nieba w

górze. Aż wyprowadzi wodny szlak na rozległą przetrzeń łąk — i tu zdaleka widzi się tłum białych postaci. Wędrują łąką nie pojedyncze boćki, ale całe olbrzymie stado. Dziesiątki, setki sztuk. Trzeba podjechać bliżej, żeby zrozumieć to zbiegowisko. Na skoszonej świeżo łące skaczą koniki polne. Tysiące koników. Kiedy się wysiadzie na brzeg, tryskają spod nóg jak fontanna, oslepiają, stoi się w zielonym gradzie. Lekki wiatr znosi chmurę owadzi ku wodzie — i cała powierzchnia Turji staje się zielona. Boćki spoglądają podejrzliwie — nie chce się im odchodzić stąd, a boją się trochę niespodzianych intruzów. Ustupujemy miejscą — i znów pochylają się okrągłe głowy, systematycznie uderzają jaskrawe dzioby, podnoszą się wysoko jaskrawe nogi w zielonej chmurze koników polnych.

Niebo jest bez żadnej chmurki — a przecież nagle odzywa się daleki grzmot. Milknie. Rozglądamy się niespokojnie, mamy jeszcze w pamięci noc pod Stanisławówką. Znów grzmot. Dopiero za zakrętem wszystko się wyjaśnia. Spłoszone naszym zjawieniem się zrywa się z łąki niezliczone stado szpaków. Wznoszą się jak czarna chmura — z grzmotem silnych skrzydeł. I opadają za następnym zakrętem. Podjeżdżamy — i znów grzmot. Właśnie jak w bajce, gdzie to ptactwo ciągnie chmurą, zakrywając słońce. I te szpaki mogłyby chyba zakryć słońce, gdyby zechciały wzniesić się wyżej. Ale trzyma je przy ziemi pokusa łąk pełnych koników, nie odlatają dalej niż trzeba.

Płyniemy dalej, ku Prypeczi. Spływają się z sobą niemal niedostrzegalnie — Prypec to tylko strumień wśród łąk i właściwie niewiadomo co do czego wpada. A Prypec kończy się szybko. U ujścia odnogi Wyżwa zatrzymujemy się zakłopotani, żeby posłuchać, że „na Prypeczi siano koszą”, i że trzeba kajak transportować kilkanaście kilometrów do miejsca, gdzie nanowo ukaże się woda, wyschnięta w prażącym od kwietnia upale. Trzeba więc obrać inną drogę, przez kanał Białozajewski.

Ale Prypec wyszła chyba naumyślnie, żebyśmy pojechali nieprzewidzianym szlakiem i mogli zobaczyć jeziora — Święte, Wolańskie i Białe.

Święte jezioro, gdzie łowią w nocy, można zawadzić niewodem o krzyż zatopionej cerkwi, rozlewa się wśród piaszczystych wybrzeży, idzie od brzegu po brzeg niewysoką, równą falą. Wąski dziób kajaka pruje bez wysiłku wodę, przecina śpiesznie fale. Żeby po krótkiej drodze wpłynąć — nie, raczej wejść w jezioro Wolańskie.

Jeżeli gdzie żyje bajka, to właśnie tu, na Wolańskim jeziorze. Od brzegu po brzeg zielony gąszcz. Gdzieś tam tylko splachcie wody. Ale od dna, aż po powierzchnię roślin podwodna puszcza, płące się wiosło w długich łodygach, pogaża w ławicach drobnych listeczków. Trzeba szukać przejścia w zaroślach trzcin, w pasach sitowia, wśród obłych łodyg kosaćców, w płatawisku grzybieni. Na chwilę zostaje za kajakiem czysta dróżka wody, ale nim parę razy uderzy się wiosłem, już się zamyka kożuch zieloności nad niezgłębioną tonią. A ponad wszystkim polot czajek, smigających wysoko, i blask białych skrzydeł rybitwy, i ostre krzyk czaple, i rojowiska kaczek, dziki, gwarny, ruchliwy świat. Niemal niezauważony przesuwa się kajak przez ptasie królestwo, zagubiony w zielonej puszczy, w odludziu, w pustce, gdzie przestaje się wierzyć w istnienie człowieka.

Potem okaże się, że właśnie Wolańskie jezioro to cyhająca w zielonej zasadce śmierć. Czterdzieści metrów mułu, a ponad tym mułem nie ma tyle wody, żeby móc pływać. Tylko nasz kajak sunął tak gładko po ruchliwej powierzchni płynnego bagniska, po wierchołkach wodnych roślin, ławicą zalegających jego wnętrze.

Ale teraz nie wiemy nic o tajemnicy Wolańskiego jeziora. Można sobie wyobrazić co się chce — dorzecze Amazonki, dopływ Kongo, i uwierzyć we wszystkie rusalki, topielce i zatopione miasta — nie ma chyba nic równie dzikiego, równie odległego od wszelkiej cywilizacji, równie porwającego, jak Wolańskie jezioro. Można by tu zostać na długo i codzień odkrywać nowe cuda i nowe objawienia.

Ale jeszcze czeka nas Białe jezioro.

Zatrzymujemy kajak, rozbijamy namiot i idziemy oglądać. Jeszcze nie widać nic. Ale dochodzi nas daleki szum, plusk monotonny, szmer fal bijących o brzeg, jak szum morza.

Otwiera się szeroko, daleko Białe jezioro w obrzeżu lasów. Niepokalanym błękitem płynie woda w pierścieniu czarnych sosen. Wzdycha woda, bita rzutami rybitwich skrzydeł. Daleko, daleko toczy się lazurowa fala. Lśni woda złocistym blaskiem. Monotonna, stugłosa pieśń śpiewa Białe jezioro mrocznym lasom, zielonym uroczyskom bez ścieżek i dróg, pustkom zarosłym chaszczami. Nad maleńką wysepką ginącą w niebieskim zalewie trzepot rybitwich skrzydeł. Kolebie się, płynię, lśni, szepce tajemne słowa beznamiętna woda.

W białej mgłę schodzi noc nad Białe jezioro. W ciemnościach nocy, pod blaskiem gwiazd trwa szelest i szum, niemilknąca nigdy jeziorna pieśń, harmonja fal, stugłosa szepc legendy. Niesie się wierchołkami sosen ledwo dostrzegalny wiatr, porusza gązecie potężnych olch, rosnących nad białozajewskim kanałem, trwa w nocnej ciszy dwugłos wody i drzew.

Upalne lato robi nam niespodziankę po raz drugi. Komunikacja do Pińska przerywana — nie podnoszą się iglice jazów. Trzeba zrezygnować z Prypeczi i Kanałem Królewskim, Muchawcem płynąć na Bug.

I znów szumią czaple skrzydła. I znów zapada w szary tuman okrągłe, czerwone słońce, a w chmurne dni niebo leży nad



ziemią, bliskie, niemal dotykalne. W którymś momencie rozpostrze się po obu stronach rzeki piaszczysta pustka. Jak okiem sięgnąć — martwa głuźka. Sztwno sterczą siwe, wlochaty liście łopianu. Białe, spopielały piach i nieżywe liście — idzie z tej pustyni wiew melancholji, smutek dręczący, szukają oczy ruin umarłego miasta, białych kolumn z akantowym liściem, podobnym do tych suchych, postrzępionych łopianów. W smiertelnej pustce wolniuteńko płynię ściszona woda.

Aż się znów zakędzierzawia zielone wierzy i olszynowe zarośla, zejda ku wodzie kolorowe łąki, i rozdźwięczy się błękit ptasim pogwarem. Na krzakach, na kolkach sterzących z wody, na wysterkach kamieni zaroi się, zalopocze białe ptactwo, mozolnie uczące latać swoje młode. Siedzi na kamieniu mały brzdąc — i wcale go nie wzrusza widok zbliżającego się wcale kajaka. Rozpaczliwie, natrętnie, popiesznie latają nad głową brzdąca rodzice. Coś tam tłumaczą, przed czym ostrzegają, czegoś koniecznie chcą. I malec się wreszcie decyduje. Niechętnie rozwija skrzydła — żeby przelecieć na następny kamień, odległy o metr czy dwa. I historia zaczyna się od początku. Znów rodzicielska narada, i trzepotanie się niespokojne — i znów przelot na piasek mielizny. Upartych brzdąców jest dziesięć, dwadzieścia, sto — cała powierzchnia wody mieni się biciem białych skrzydeł, polyskuje ciemnymi płamami jakby usmolonych ptasich piersi, dźwięczy niespokojnym ptasim pokrzykiem. Chwieją się śmiesznie na kolkach starej tamy małoletni, przynaglani dorosłą troską. Ławice na brzegach mrowią się ptasim tłumem. Płyniemy w ruchliwym stadzie, w bieli piór, w niespokojnym rozgwarze. Na placu Marjackim w Krakowie, na Starem Mieście sypiące okrucy dzieci tak opadają gołębie — zawieruchą skrzydeł, polyskiem okrągłych oczu, barwą łąpek i dziobów.

Na tamtej mierze obrały sobie miejsce na spacer czajki. Tłoczą się jedna przez drugą, kiwają łebkami, stroszą śmieszne czuby. Razporaz podrywa się któraś i oblatuje wielkim kręgiem mielizną z żalonym, przenikliwym pokrzykiem. Wysoko, nad wszystkim żegluga czapla, obojętna na ptasi rozgwar tam, w dole. Tuż spod dzioba kajaka wypływa dzika kaczką i przez chwilę kręci się po wodzie zdumiona — aż da nagłego nurka, tylko chlapiąc o wodę płaskie łapki i zadarty w górę kuperek.

Dopływamy wreszcie pod Brześć. Tu po raz pierwszy od dwu tygodni spotykamy na wodzie ludzi „cywilizowanych” — i przyglądamy się im, jakby obudzeni ze snu. Na te dwa tygodnie zapadło się wszystko pod ziemię, nie istniał świat — poza fantastycznym, bajkowym, nieprawdopodobnym światem. dzikich wód.

Wpływamy na Bug i mamy oczy ślepe na wszystkie jego piękności. Turja i jeziora urzekły nas na zawsze. Ranki we mgle, noce złote od gwiazd, czarne topiele i lazurowe płycizny, nieprzebyte gąszcze zieleni, i cisza, o której się nie ma pojęcia, i ten nieuchwytny czar, którym tchną dzikie zakamarki dzikich poleskich wód — nie, już nigdy nie popłyniemy na żadną „cywilizowaną” rzekę. Objawiło się nam Polesie niespodzianką, darem nieoczekiwanym. Istniało przedtem w wyobraźni jako szary, smętny, płaski kraj, a tymczasem okazało się ziemią przepychu, barw, kwitnącą puszcza czarów.

Dlatego przygotowujcie kajaki — o ile oczywiście zdecydujecie się przez pewien czas żyć życiem dzikusów. Bo Polesie poza cudami swojej przyrody nie da turyście nic z normalnych wygod życiowych. Poskąpi nawet jedzenia i picia — poza rybami trzeba poprzestać na tem, co się zabierze ze sobą.

I jeszcze da wam Polesie jedno — nieustanną tęsknotę, żeby pojechać jeszcze raz, i twarzą w twarz patrzeć w tajemnicze nieustannego stawania się, nieustannej przemiany, i słuchać, jak bije obnażone serce ziemi.

P. S.

Z krótkometrażówki, wyświetlanej w tym roku w kinach wycięto ponoć wszystko, co pokazywało życie ludzi w zielonym świecie czarów — a więc okrutne, straszliwe i posępne strony cudownej bajki. Ale to już jest — bajki rozdział drugi.

OFENSYWA KATOLICYZMU

Biblioteka „Kultury“ pod redakcją ks. dra Stanisława Brossa. Nr. 8 Dr. Andrzej Niesiołowski. Katolicyzm a totalizm. Poznań, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, 1938; str. 112. Zł. 1.75.

Podjęto zewszehmiar interesujące zagadnienie, które w dobie prób odrodzenia katolicyzmu, niejako drugiej epoki potrydenckiej, narzuca się nieodparcie wszystkim intelektualistom śledzącym rozwój prądów reformatorskich w łonie wielkich organizacji społecznych świeckich i religijnych. Rozprawa Niesiołowskiego specyficznie „rewizyjnista” w ustosunkowaniu się do przeszłych prób tworzenia „civitas dei” przez katolików zapomocą przymusu (bracchium saeculare), doszukująca się nowych, obcych przemocy rozwiązań realizacji „państwa bożego” nie wyczerpuje problemu tak jak stał on postawiony w tytule (poza ogólnikowymi stwierdzeniami, że ideologie totalne są antytezą królestwa bożego i współczesną formą imperjalizmu), lecz usiłuje dać odpowiedź na pytanie: „czy jest możliwy katolicki totalizm”. Wiele pomocne były w tym względzie autorowi doświadczenia historyczne kościoła: Karola Wielkiego rzezie saskie, wojny krzyżowe, nawracania krzyżackie, inkwizycja, dzieje Husa — dyskwalifikujące w obrachunku dziejowym skuteczność siły w dziedzinie wiary. Św. Augustyn nie przewidział owej „słabości siły” czyniąc tragiczną dla chrystianizmu koncepcję na środki uświęcające cel. Nowoczesna myśl katolicka odwracając się od „ojca stosowania przymusu w sprawach wiary”, szuka oparcia w wychowaniu do wolności.

Samo zjawisko totalizmu tłumaczy autor jako „pozytywny proces integracji ponownej kultury, ustroju i duszy ludzkiej” — po dezintegracji człowieka i kultury zapoczątkowanej przez humanizm. Słabość totalizmu leży w tem, że wymusić można tylko zewnętrzne czyny, a „sumienie jest niedostępne dla przemocy”; jest to miejsce dla niebezpiecznych złudzeń, groźniejszych w swych konsekwencjach dla totalizmu religijnego niż świeckiego.

Drogi realizacji „państwa bożego” poza totalizmem wyznacza autor w walce o nowy, dynamiczny światopogląd katolicki: wykluczający receptywny, tradycjonalistyczny stosunek do świata zewnętrznego, do materji, od której nie należy po manichejsku stronić, ale podporządkować ją celom bożym, światopogląd odzęgający się od katolicyzmu statycznego tylko metrykalnych członków kościoła; drogi te to sublimowany społecznie materializm, połączenie ekspansywności z personalizmem, dającym jednocześnie wewnętrzny umiar i aktywną postawę. Z tego państwa zniknąć muszą teoretyczni chrześcijanie, wejść zaś powinno nowe pojęcie własności, idea służby, nigdy jednak gwałcenie przekonania; Niesiołowski przygotowuje nawet katolików do „przejęcia odpowiedzialności, gdy czasy dojrzą, nie lękania się władzy”, o której w obozie katolickim mówi się dziś zresztą coraz wyraźniej.

Autor nie widzi możliwości dla totalizmu katolickiego w Polsce; dochodzi do konkluzji, że powołaniem, misją Polski, „wciśniętej między dwa wielkie odstępstwa od bożych praw” jest nie co innego jak strażowanie wolności, która przez długie wieki była siłą atrakcyjną naszego kraju, swoistą metodą jego międzynarodowej ekspansji; ze względu na położenie geopolityczne, na wewnętrzne ubóstwo nie prowadzące bynajmniej do Boga (u zamożnych narodów północnych najwyższy poziom moralności) powinna nastąpić w Polsce wielka, dogłębna aktywizacja katolicyzmu, który musi przyswoić sobie przekonanie, że „służba Bogu to nie uczeska od życia, ale jego prawdziwe opanowanie”, a spośród swoich wyznawców wyeliminować typ wegetatywnego rolnika-ziemiannina, przetworzyć Polaków-katolików w naród, któryby tak samo umiał myśleć i działać jak narody protestanckie.

Tyle autor, przemysłujący się zresztą dość zręcznie wśród szeregu niesubtelności. Bo przecież kościół rzymski w XX w. bynajmniej nie rezygnuje z „ramienia świeckiego”, a nawet, gdzie tylko może zapewnić sobie jego wydatną pomoc: choćby w wychowaniu czy prawodawstwie; a gdyby katolicy choć w części zrealizowali „państwo boże katolickie narodu polskiego”, owo tak szumnie potępiane „bracchium saeculare” zyska wielokrotnie na sile i znaczeniu, ingerując jeszcze częściej niż dziś. Bardzo, za bardzo szybka ugoda austriackich biskupów z hitlerystami wskazuje, że kościół nie dąży do separacji od świeckich podwalin swej siły, ale szuka podporę, każdegokolwiek „modus vivendi” nawet z państwami i ruchami sobie wrogimi.

Uderza zupełne pominięcie innych ruchów aspirujących do twórczego przekształcenia rzeczywistości polskiej. Autor mówi o katolicyzmie i tylko o katolicyzmie, nie zastrzegając nawet jego wyłączności, tak jest pewien zdecydowanej przewagi jego siły. To całkowite zbagatelizowanie innych ruchów już nie religijnych ale czysto społecznych, mających wielkie tradycje i zasługi w dziejach społecznych Polski jest jaskrawym uproszczeniem kwestji.

Mimo to nie można autorowi i ruchowi młodokatolickiemu odmówić szlachetnych tendencji ani jasnego, uczciwego spojrzenia na sytuację Polski i Europy. Dano nam przedewszystkiem cenne wyjaśnienie w palącej kwestji, za którym powinna iść bardziej czynna postawa zarówno wobec koncepcji katolickiego totalizmu jak i szeregu świec-

kich. Niemniej nie można zapominać, że kościół rzymski w Polsce zdołał pomieścić Konarskiego i Staszka obok biskupa Podolskiego, Prądzyńskiego i Hlonda, że równy Niesiołowskiemu głos mają ks. Pawski i Piasecki, gorliwi zwolennicy totalizmu, a walka o stosunek do totalizmu trwa w jego łonie nadal.

Broszura stanowi symptomatyczną zapowiedź, że odbywający się ostatnio renesans katolicyzmu nie ograniczy się do „decydującego” frontu dusz, ale sięgnie po zewnętrzne atrybuty władzy. Może będzie to jezuityzm gospodarczy, może katolicki podobój materji — doś, że rodzi się w chrystjanizmie prąd obcy katolicyzmowi Fuldy czy cichego klasztoru w St. Gallen. Drogi jego powioda zdala od cel kontemplacyjnych, zakonów żebraczych i praktyk ascetycznych średniowiecza, od pokory świętego, nadstawiającego drugi policzek. Wielkim błędem byłoby strusię lekceważenie młodej prężności i prawdziwych sił tego ruchu, nieuznawanie bezspornego faktu jego istnienia.

Biblioteka „Kultury“ pod redakcją ks. dra Stanisława Brossa. Nr. 10. Biskup Otakar Prohaszka. Aktualne zadania katolicyzmu. Z węgierskiego tłum. Robert Oleár. Poznań. Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, 1938; str. 63 i 1 nl. Zł. 1.

„Bojowaniem jest żywot człowieczy na ziemi” (Job. VII. 1.); bojowali przeto chrześcijanie w wiekach biblijnych i później aż po ostatki średniowiecza z szatanem kuszącym, walczili z herezją, apostazją dogmatyczną; dziś sternicy „nawy Piotrowej” zakreślili kościołowi wojującemu inne cele, szersze drogi. Ochrzcić świat, już nie misyjnie i nie ilością pozyskanych „dla zbawienia” dusz, ale zaszczyć w kulturę i cywilizację współczesną ideały Chrystusowe, na każdej instytucji ludzkiej zatknąć krzyż, rodziny, szkoły, uniwersytety, biura, związki, urzędzenia społeczne i gospodarcze, prawa państwowe i międzynarodowe przepieć duchem Syna Bożego. Biskup Prohaszka rozpatruje bliżej przeszkody, hamujące rozwój akcji katolickiej, mającej urzeczywistnić owe cele. Zastanowienia jego mają charakter wszechstronny: skromna broszura mieści problem stosunku kościoła do nauki i „złacyzowanej” kultury, zagadnienie spirytyzmu i seksualizmu, sprawę indyferentyzmu i masowej apostazji społecznej mas robotniczych od kościoła, zajmuje się po równi sekciarstwem jak i „apostolstwem świeckich”, najszerzej uwzględniła zadania kulturalne katolicyzmu. Hurtowność kwestyj sprawiła, że szereg najdonioślejszych poprostu zagadnień otrzymało bardzo pobieżne załatwienie. Według Prohaszki kościół wyszedł zwycięsko z ataków, jakie przypuściła doń nauka XIX i XX w. i „udało się (?) stworzyć syntezę między wiarą i nauką, rozumem a religią” — nadeszła pora łączenia religji katolickiej z wszystkimi objawami współczesnej cywilizacji, urzeczywistniania współczesnych ideałów w kościele, a indyferentyzm, wywodzący się ze sceptycyzmu został już przewyższony naskutkiem bankructwa intelektualizmu. Tak więc nauka pogodziła się już z dogmatami jednej religji, narazie kościoła rzymskiego, a czekać wypada na drugi pakt nieagresji, tym razem chyba z buddystami czy mahometanami. Nie trudniej i nie głębiej załatwia biskup węgierski kwestję odstępstwa społecznego wielkich mas od kościoła i ich ewentualnego powrotu. Nie mówi już o tem jakoby właśnie dla ubogich Chrystus gotował królestwo niebieskie; katolicyzm zarzucił już ten pocieszający argument; ale zgodnie z ostatnią taktyką kościoła potępia kapitalizm, ustrój, który włożył masy w nędzę i ją toleruje, wzywa katolików do podkreślenia, że „nic (?) ich z kapitalizmem nie łączy”, do przebudowy ustroju (wspólnota pracownika i pracodawcy), upatrując „nawrócenie” wyznawców Marxa w likwidacji bagna proletariackiego. Ta, szkoda, że tak bardzo spóźniona myśl ulżenia doli proletariatu powstała u autora na wiele materialistycznych przesłankach: że ani ideologia Marxa ani materializm dziejowy czy filozofia nie pchnęły mas do wrogich kościołowi obozów, ale nędza, głód i cierpienie; św. Franciszek z Assyżu uczył głodnych śpiewać — dziś pisze autor — trzeba im dać chleba, nie wystarczy śpiew. Trudno jednak przypuścić, by masy wróciły jeszcze kiedyś do tych, którzy mimo władzy i wpływów dopiero po 2000 lat myślały o społecznej realizacji Ewangelji, a w dziele ich wyzwolenia z niewoli społeczno-gospodarczej kapitalizmu przykładają rękę ostatni.

Najpoważniejsze zastrzeżenia budzą „zadania kulturalne”. Z przekreśleniem polityki izolacji od „zeświecczonej kultury” przewidziano masowe wszacanie chrystjanizmu we wszystkie jej dziedziny, ba, nawet tam, gdzie „zaczeli robotę masoni”, iść mają katolicy i kończyć w duchu Chrystusowym. Mają wchodzić do wszelkich organizacji i oddziaływać w nich w kierunku katolickim (czyżby nie metody kominternu?), dzisiejszą złacyzowaną kulturę, stojącą na bezdrożach pchnąć na grunt chrześcijański, podobno jedyny, na którym może wyrósć kultura prawdziwa. Dla dokonania tego dzieła potrzebne jest katolicyzmowi apostołstwo świeckich, bez którego, autor przyznaje, katolicyzm nie zdoła przeciwstawić się zzeświecczeniu kultury. I znów — dynamizacja, aktywizacja, ożywienie, „blaszanych figur”: kongregacje, kółka misyjne, ligi katolickie, trzecie zakony... przez pospolite rusze-

nie katolicyzmu do najszerzej pojętego panchrystjanizmu. Więc wszystkie „aktualne zadania” postawił biskup Prohaszka na rachunek dynamicznego ruchu religijno-reformistycznego, który, choć rodzi się, de facto jeszcze nie istnieje, a jego potencjalna siła stoi ciągle pod znakiem zapytania. Zadania, tu już skonkretyzowane noszą charakter raczej aspiracji czolowych osobistości kościoła rzymskiego, dalekich zamie-

MARX PO POLSKU¹⁾

Sto dwudziestą rocznicę urodzin Marxa²⁾ i dziewięćdziesiątą „Manifestu Komunistycznego”³⁾ uczcił Instytut Wydawniczy „Renaissance”, wydając pierwszy polski przekład rozprawki „Zur Judenfrage”.

Niesposób jej należycie zrozumieć bez znajomości — przynajmniej w ogólnych zarysach — rozwoju filozoficznego twórcy „Kapitału”.

Marx, piszący w r. 1841 rozprawę doktorską, był czystej krwi heglista. Marx, redagujący w r. 1842 „Gazetę Nadreńską”, wciąż jeszcze obracał się w zaczarowanym kręgu idealistycznych rozważań. Ale Marx, autor prac, umieszczonych w jednym zeszytce „Niemiecko - Francuskich Roczników” (1844), był już feuerbachistą t. j. materialistą filozoficznym, który z pogromu doktryny heglowskiej ocalił jej najzdrowszy rdzeń: dialektykę. W roku 1848 trzydziestoletni Marx stał się (współ z młodszym o lat dwa Engelsem) twórcą nowego światopoglądu, materializmu konsekwentnego, obejmującego, w przeciwieństwie do Encyklopedystów i Feuerbacha, również i życie społeczne. Materializm ten oparł się na dialektyce, jako najbardziej wszechstronnej i głębokiej nauce o rozwoju, oraz na teorii walki klas i światowa historycznej roli proletariatu — budowniczego ustroju przyszłości.

Rozprawka „W kwestji żydowskiej” została ogłoszona w „Niemiecko - Francuskich Rocznikach”. Czytelnik, zwłaszcza marxista, będzie ją studiował dzisiaj z dość niecodziennym uczuciem. Jakże inny jest bowiem ten Marx od autora „18 brumaire’a Ludwika Bonaparte”, „Przyczynku do krytyki ekonomji politycznej”, „Wojny domowej we Francji”, „Kapitału”!

W pojęciu materializm dialektyczny można kłaść nacisk na jeden z dwóch jego członów. Materializm dialektyczny nie jest bowiem tem samym, co dialektyka materialistyczna. „Przyczynek do kwestji żydowskiej” został napisany przez Marxa — materialistycznego dialektyka. „Przyczynek do krytyki ekonomji politycznej” — przez Marxa — dialektycznego materialistę. Różnicy tej nie wolno tłumaczyć wyłącznie stopniowym rozwojem jego umysłowości. Wyjaśniają ją bowiem również względy tematyczne, polemiczne i faktyczne, dogłębnie z sobą powiązane. Wyjaśnia ją: dialektyka obiektywnego procesu historycznego, która znalazła odzwierciedlenie w mózgu i pracach Marxa.

Rozprawka „W kwestji żydowskiej” jest arcydziełem abstrakcyjnej polemiki. Zwalczając negatywny stosunek Bruno Bauera do emancypacji politycznej Żydów, Marx zajmuje wprawdzie dialektycznie i diametralnie przeciwstawne mu stanowisko, ale stara się pozostawać w sferze pojęć swego przeciwnika.

Warto tu przytoczyć próbkę tej polemiki — wedle przystępnego streszczenia Mehringa.

Bruno Bauer dostrzegł sprzeczność, jaka istniała w Niemczech na początku czterdziestych lat XIX wieku między politycznym upośledzeniem żydostwa a postępnymi żydowskim kapitału. Jest to punkt, w którym ów radykalny młodo-heglista poznał rozwój kapitalistyczny, ale poznał go tylko w postaci średniowieczno-żydowskiego zarodka, jako narośl państwa chrześcijańsko-germańskiego. Toteż Bauer ugrzązł w sprzeczności religijnej między chrześcijaństwem a judaizmem. Aczkolwiek ostro krytykował on teologję, to jednak wciąż widział wszystko przez okulary teologa. Zwalczał państwo chrześcijańsko-germańskie, które ze swej istoty religijnej nie może Żydów wyemancypować; ale jednocześnie zwalczał i Żydów, którzy dla swej istoty religijnej nie mogą być wyemancypowani. Religijny punkt widzenia jest dla Bauera decydujący. Chrześcijanie i Żydzi muszą przestać być chrześcijanami i Żydami, jeżeli chcą być wolni. Ponieważ jednak judaizm jako religja prześcignięty został przez chrześcijaństwo jako religję, przeto Żydzi mają do wolności drogę cięższą i dłuższą, niż chrześcijanie. Według Bauera Żydzi muszą poniekąd wprwadzić chrześcijaństwo i filozofję heglowską zanim staną się zdolni do emancypacji. Rozwiązanie kwestji żydowskiej, emancypacja Żydów, staje się u niego nieuchwytnym dziwolągiem idealistycznym.

Tym poglądom Marx przeciwstawia rezultaty praktyczne, wysnute ze swych studiów nad rewolucją francuską. Powiada on: nie wystarczy bynajmniej badać: kto ma wyzwalać? kto ma być wyzwolony? — Krytyka powinna spytać: o jaką emancypację chodzi? — powinna zbadać stosunek emancypacji politycznej do ogólnoludzkiej. Jeżeli Bauer zapytuje Żydów: czy macie prawo ze swego stanowiska żądać emancypacji politycznej? — to należy raczej spytać: czy stanowisko emancypacji politycznej ma prawo żądać od Żydów zniesienia judaizmu, a od

rzeń, niepozbawionych utopijności, aniżeli rzeczywistych dążeń szerokich rzesz wierznych. Nie można nie doceniać wpływów katolicyzmu na losy świata, cywilizacji i kultury; egzaltowana jednak wydaje się myśl hegemonji jednej religji nad kulturą i cywilizacją wszechludzką, patetycznymi przytoczone z Hermana Bahra słowa o urzeczywistnieniu wszystkich ideałów ludzkości w kościele; wytłumaczeniem ich może być tylko zbyt gorąca interpretacja ewangelicznego prorocstwa o „jednym pasterzu i jednej owczarni”.

Andrzej Drozd

człowieka w ogólności — zniesienia religji?

Marx na pytanie to odpowiada przecząco, dowodząc, że państwo chrześcijańsko-germańskie, państwo przywilejów, jest państwem jeszcze teologicznym; że nie jest jeszcze wykończonym, czysto politycznym państwem. Państwo zaś doskonałe pod względem politycznym, państwo nowożytne, państwo nie uznające już żadnych przywilejów religijnych — jest też państwem chrześcijańskim wykończonym; ono Żydów emancypować nie tylko może, ale istotnie ich wyzwoliło, i z natury swej musi ich emancypować. Tam, gdzie istnieje państwo polityczne w najbardziej rozwiniętej swej postaci, gdzie konstytucja wyraźnie ogłasza korzystanie z praw politycznych za niezależne od wiary religijnej, jak w niektórych wolnych stanach Ameryki Północnej, tam mimo to człowiek bez religji nie jest uważany za porządnego człowieka. A więc istnienie religji nie przeczy ostatecznemu rozwojowi państwa. Polityczna emancypacja Żyda, chrześcijanina, wogóle człowieka religijnego jest emancypacją państwa od judaizmu, chrześcijaństwa, od religijności ogólnej. Państwo może wyzwolić siebie od określonych więzów, chociaż przez to człowiek nie staje się istotnie od nich wolny. W tem też widzimy ograniczoną emancypacji politycznej.

W rozprawce o „kwestji żydowskiej” uderza nie tylko jej abstrakcyjność. Przytłacza w niej bowiem prawie tak niezmiernie dla Marxa charakterystyczna cecha: nadzwyczajna akumulacja myśli, co, o czyni wrażenie formalnej ciasnoty wobec rzeczowego przepychu. Inna rzecz, że współczesny czytelnik, przyzwyczajony do marxowskich konkretów, biedzić się tu musi nad zglębianiem sensu takiego np. pojęcia, jak „potrzeba praktyczna”, powtarzająca się przecie tylekroć w warjantach: „światopogląd potrzeby praktycznej”, „religia potrzeby praktycznej”, „humanizacja potrzeby praktycznej” i t. d. Ten trud czytelnika opłaca się jednak sownie. Daje bowiem możliwość „przypatrzeć się” nieomal narodzinom geniuszu, daje możliwość zrozumienia ewolucji marxowskiej myśli. Jakże ta myśl walczyła, aby zostać sobą!

Tłumaczenie dobre. Na stronie 36 drobny błąd. Jest: „Droits de l'homme, prawa człowieka są jako takie, różne od droits du citoyen, od praw obywatela. Któż jest tym *citoyen*, w odróżnieniu od *homme*? nikt inny jak tylko *członek społeczeństwa mieszczańskiego*”. W tem drugim zdaniu słowa „*citoyen*” i „*homme*” powinny „zamienić się na miejsce”.

Zygmunt Jarosz

¹⁾ Karol Marx. W kwestji żydowskiej. Z przedmową F. Mehringa. Warszawa, „Renaissance”, 1938; str. 53 i 1 nl. Zł. 1.30.

²⁾ 5 maja 1818 r.

³⁾ Luty 1848 r.

O czterech przechodniach

Na czterech rogach ulic,
Czterech stanęło przechodniów —
I z czterech rogów ulic,
Každy do góry wzrok podniósł.

A że im w oczy zabłysło
Słońce wiosennym promieniem,
Každy kapelusz nacisnął,
By skryć się przed tem olśnieniem.

Pierwszy, urzędnik, ze wstydem
Ukradkiem patrzył na wiosnę.
Drugi przechodzień był Żydem.
Trzeci z nich był narodowcem.

Ze czwarty był komunistą,
Trzej tamci nic nie wiedzieli;
A kiedy słońce zabłysło,
Wszyscy o wiosnie myśleli.

Aż na zegarach, jak codzień,
Ósma wybiła akurat.
Więc odszedł pierwszy przechodzień,
Bo bał się spóźnić do biura.

I drugi poszedł przed siebie,
Ku ziemi znów jął się kulcić.
Trzeci z patrzących po niebie
Odszedł i zniknął wśród ulic.

Czwarty odjechał przygodnie
Przejeżdżającym tramwajem.
Tak się minęli przechodnie
I nie poznali nawzajem.

Andrzej Nowicki

NOWOŚCI POETYCKIE

Tadeusz Hollender. Ludzie i pomniki. Książka wierszem. Warszawa, F. Hoesick, 1938, str. 53 i 3 nl.

Hollendorowi, jak zresztą całemu młodemu pokoleniu poetyckiemu, wywodzącemu się ze Skamandra, dane było widzieć błędy swoich prekursorów. Zastanowienie się nad owymi błędami i wyciągnięcie wniosków spowodowały różność dróg młodego pokolenia poetyckiego. Jedni, uznając skamandrycką fakturę formalną za swego rodzaju „anachronizm”, skierowali uzewnętrznienia doznań na tory poetyki awangardowej, drudzy, stojący na stanowisku najbardziej nieskomplikowanej i szybkiej realizacji poetyckiej postulatów społecznych (np. niektórzy poeci „Kwadrugi”, wyznawcy sztuki społecznej) zaprzeczyli w swoich utworach linii *ideowej*, widocznej w perspektywie czasu we wszystkich niemal utworach człowiek skamandrytów, trzeci wreszcie, passeiści, udoskonali budowę poetycką, zapoczątkowując neoklasycyzm.

Tadeusz Hollender, należący do drugiej grupy, przeciwstawia się w swoim drugim tomie neoromantyzmowi Skamandrytów. Jeżeli chodzi o nawarstwienie różnorodnych materii poetyckich, przedstawia się to bardzo interesująco. Z jednej strony, wiersze zawarte w „Ludziach i pomnikach” są antytezą „Wolności tragicznej” — w czasach niewoli tragicznej, przeciwstawiając linii *ideowej* zaręczony Wierzyńskiego jak i Lechonia, wizję, a raczej przecucie nowej rzeczywi-

niezbyt szczęśliwie skomponowaną laurką na cześć Tuwima; „Największemu współczesnemu poecie, Tuwimowi poświęcam ten tom”. A przedtem czytamy: „Więc teraz Ty się na mnie nie gniewaj, gdy chcę inaczej śpiewać niż Ty”. Jednak na przestrzeni całego tomu Hollendra tylko częściowo, jeżeli chodzi o aspekt społeczny, spełnia się ta obietnica.

Podróż liryczna pod flagą Skamandra kończy się powrotem ze spuszczoną flagą.

Anatol Stern. Rozmowa z Apollinem. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 56 i 2 nl.

Na nowy tom Anatola Sterna składają się: dialog satyryczno-patetyczny „Rozmowa z Apollinem”, wiersze liryczne i poemat „Śmierć poezji”. W dialogu tytułowym autor przeciwstawia swoje stanowisko społeczne Apollinowi, który z biegiem czasu zatracił swoje mitologiczne znaczenie, stając się akademikiem literatury i reprezentantem przestarzałych form. „Trudno słuchać melodii żywiołów, gdy dokoła mury” i „Te mury same padną, gdy wyzwoli się żywioł, który w nas mieszka” mówi poeta, przyjmując helleski mit o Marsjaszu za schemat zasadniczy i koncepcję dialogu.

Wiersze liryczne o bardzo ciekawych pomysłach nie znalazły odpowiednich form realizacyjnych. W materii utworów spotyka my liczne luki i różnorakie nawarstwienie prawdziwych chwytów poetyckich obok oportunistycznych potknięć i prozaizmów. Sam charakter tomu jest nieco spóźniony, bo nawiązuje do założeń formalnych futuryzmu polskiego, którego bankructwo jest dzisiaj szczególnie wyraźne. Pociągnęło to oczywiście za sobą ogromną niesamodzielną twórczą i zależność od Majakowskiego. Poemat Sterna „Wspomnienie”, jeżeli chodzi o umiejscowienie momentów dynamicznych wiersza i o narastający ciąg koncepcji wizualnych, jest pod wyraźnym wpływem Majakowskiego. Jednak brak celności rzutów po-

etyckich i lapidarności śpieć, właściwych genialnemu poecie rosyjskiemu, uczynił z poematu Sterna jedynie słabą reprodukcję.

Przyczyną jest najprawdopodobniej różnice pomiędzy postawionymi sobie koncepcjami a ich realizacją, jak również brak kondensacji obrazowej i nieodpowiednie nasilenie zagęszczeń metaforycznych.

Najlepszym wierszem jest krótki liryk „Słowo”, gdzie nie widać owych hipertrofij werbalnych, widocznych we wszystkich niemal wierszach tomu.

Halina Pilecka-Przybyszewska. Samotna niedziela. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 62 i 2 nl.

Tomik debiutowy Haliny Pileckiej-Przybyszewskiej czyni wrażenie wierszowanych zapisków sztambuchowych. Niewątpliwy posmak autentyzmu i aura wędrującej prowincji miałyby pewien wdzięk, gdyby autorka nie usiłowała kokietować prostotą, graniczącą często z prymitywem. Np. w wierszu „Rymujący kolega”: „O koledze to każdy wie, a o mnie nie. Koledze drukuj, kiedy, gdzie, a mnie nie”. Pewne trafne obserwacje wskazywałyby na inklinację do prozy.

Chociaż w wierszu „Ucieczka” czytamy: „Nie drogą, nie ścieżką zdeptaną, polem, polem nieznanym, łąką niekoszoną — nowym ogniem doznań zapłonąć”, autorka nie urzeczywistnia swoich zamiarów. Tom jest przedwcześnie.

Jerzy Kamil Weintraub

BATERIE



bija
JASNOŚCIĄ,
TRWAŁOŚCIĄ,
WYDAJNOŚCIĄ,

ŻARÓWKI

WSPOMNIENIA BENESZA

Dr. Edward Benesz, Prezydent Republiki Czechosłowackiej. Odrodzenie narodów. Przełożył dr. Witold Belza. Warszawa, „Renaissance”, (1937); str. 8 nl. i 476 i 1 tabl. Zł. 15.

Dobrze przetłumaczona książka Benesza jest dziś szczególnie aktualna i ważna. Mija 20 lat, gdy została stworzona Republika Czechosłowacka, gdy grono osób w oparciu o masę swego narodu wywalczyło mu niepodległość. I oto w 20 roku niepodległości niezależny byt państwa czechosłowackiego jest zagrożony. Jakikolwiek będzie los konfliktu z partją Henleina i z Hitlerem, nie ulega wątpliwości, że Czechosłowacji grozi stale niebezpieczeństwo wewnętrzne i zewnętrzne. Dzieje jej potoczą się zapewne inną drogą aniżeli dotychczas. Równowaga sił i pokój, gwarantowane w traktacie wersalskim, zostały gwałtownie zburzone.

Dziś, gdy Republika Czechosłowacka oczekuje najazdu teutońskiego, szczególnie sens mają wspomnienia „wojenne” Benesza o tem, jak ciężko rodziło się to państwo, od samego początku wierząc w zachodnie demokracje i w ten układ sił, który został stworzony w r. 1918. Masaryk, Benesz i ich najlepsi współpracownicy (każdy naród może zazdrościć Czechom i Słowakom tak wielkich ludzi!) walcząc o niepodległe państwo, walczyli również o jego ustrój. Znajdując się nawet w najcięższych okolicznościach, Czechosłowacja pozostała wierna zasadom demokracji. Mądry i dzielny naród, dobrze wychowany przez swoich nauczycieli!

W swej ciekawej książce Benesz opowiada o akcji czeskich i słowackich niepodległościowców od początku wojny światowej aż do jej zakończenia. Dla czeskich polityków niepodległościowych wybuch wojny oznaczał możliwość zmiany mapy europejskiej i zdobycia własnej niezależności państwowej. Niepodległość można było wywalczyć tylko przez rozbicie i zniszczenie Austro-Węgier. Akcja polityczna została odrzuca skierowana przeciw Wiedniowi. Politycy czescy widzieli słabe strony austriackiego cesarstwa, zaczęli prowadzić, o ile na to warunki wojenne pozwalały, najpierw akcję we własnym kraju. Równocześnie rozwinęły żywą działalność propagandową i organizacyjną w państwach sprzymierzonych. Każdy, kto występował przeciw Austrii, był sojusznikiem. Pozyskanie jak największej ilości najwybitniejszych i najsilniejszych sojuszników, przekonanie ich o słuszności tezy, że Austro-Węgry są kolosem na glinianych nogach, związanie ich z ideą niepodległości narodów słowiańskich, będących pod władzą Wiednia, oto główne zadania akcji, zorganizowanej przez masaryków przedewszystkiem w Anglii, Francji, Rosji i Włoszech. Akcja ta przystosowywała się do zmieniających wciąż warunków wojennych, nabrała jednak z biegiem lat siły i znaczenia. Warunki wojenne były trudne i niebezpieczne. Zwyciężyły jednak zapał, poświęcenie się idei i przekonanie o jej słuszności. Zdolności polityczne przewodców, ich umiejętność przewidywania, charakter i silna wola zadecydowały o tryumfie.

Benesz szczególnie wiele pisze o tych sprawach, w których sam brał udział. Opoowiada żywo i ciekawie, dobrze orientuje się

w sytuacji ogólnoeuropejskiej. Dla czytelnika polskiego będzie rzeczą interesującą dowiedzieć się, jak przebieg wojny ocenia wybitny polityk i przedstawiciel bliskiego — mimo wszystko — narodu. Liczne kwestje, które w naszej literaturze historycznej i w wspomnieniach działaczy polskich bądź nie są wcale poruszane, bądź też są przedstawiane jednostronnie, mają w tej książce własne, szerokie oświetlenie. Benesz, jak i



Edward Benesz, prezydent Republiki Czechosłowackiej

jego duchowy i polityczny przewodnik, jest uczonym, profesorem uniwersytetu, człowiekiem wszechstronnie wykształconym i kulturalnym, umysłem nieprzeciętnym i głębokim. Chociaż nie ze wszystkimi jego sądami i spostrzeżeniami można się zgodzić, zjednywa jednak przekonaniem o słuszności swej sprawy, prostotą i szczerością. Nie kieruje nim szowinistyczna nienawiść, przykrości umie przemilczeć i wybaczyć.

Przedmowę do wydania polskiego kończy Benesz takimi słowami: „Już podczas wojny w okresach dobrych i złych wylaniały się te same zagadnienia naszego wzajemnego stosunku — co i dzisiaj: zrazu rezerwa, obustronna niedostateczna znajomość poszczególnych zagadnień, dotyczących obu narodów, różność temperamentów narodowych, pewne różnice w poglądach, ale równocześnie także świadomość bezwzględnej konieczności porozumienia się na przyszłość pomimo wszystkich tych trudności — w interesie obu narodów i utrwalenia wzajemnych stosunków przynajmniej tak, że wprawdzie każdy z obu narodów zagadnienia swoje rozstrzygać będzie własną drogą i własną metodą, ale nigdy nie będzie przeszkadzał i szkodził drugiemu. Przeciwnie — leży w interesie ogólnym, aby narody nasze porozumiały się ze sobą i przyczyniały się wspólną pracą — w ścisłej i przyjacielskiej zgodzie — do utrzymania nowego prawnego porządku Europy i pokoju powszechnego”.

Karol Kuryluk

JAN ŚPIEWAK

Misterjum

nieromantyczne *)

Julii L.

Prolog

Oto historia jak w teatrze i oto gra jest chińskich cieni, gdy rzeczywistość nagle zatrze i krzyk i śmiech i przerażenie. Wtedy kukielek rząd woskowy niedbałym gestem powie: unieś, i na widownię sfruną głowy nie ogniem sztucznym, ale luną. A wy, widzowie, strachem zdjęci, do siebie tuląc się cielskimi przedziciecie salą tak jak święci, jak święci średniowieczni — sami. Będziecie krążyć w takt orkiestry wpatrzeni w ruchy dyrygenta, a każdy ruch wasz będzie — przestrach, a każda przerwa — niepojęta. I światło nieme spłynie w bagno, na bagnie będą ludzie stać. A Ty, o Juljo, jeśli pragniesz, weź lada kukłę, będzie grać.

Kurtyna

Chór wystrzelonych armat

Oddaliśmy ziemi naboje, przeorałiśmy ziemię strzałami i czarnoziemem odrzucił kamień, kamień muszę jak źródłem poić. Teraz spokój kwitnie z oddali krwią wyblakłą zieleni wysoko. Teraz ogień zachodu pali naszych oczu wystrzelonych oko.

Scena ciemnieje pomału, słychać miarowe człapanie wojskowych buciorów, na chór wystrzelonych armat pada cień z karabinem.

Cień z karabinem

Już wygrałem bagnetem wszystko, karabinem, fujareczką lipową, teraz drogę wyściliście listkiem, iperytem pedzącym nanowo. Dajcie butom włóczęgę nijaką, drzewom zwiędłym strzelistość pochyla, żeby znowu przed znakiem pułkowym, spadał cień antychrysta.

Chór wystrzelonych armat

Nie szumiąło niezmiennie nam morze, tylko warkot kartacznicy opadał, i samolot strącony — nasz orzeł, zwracał ziemi i ogień i radość. Dajcie radość krokom człapiącym. Dajcie liściom umierać jesienią.

Cień z karabinem

Oto stoje w ciemności jak słońce, które zwiędło przed czernią cienia

Chór wystrzelonych armat

Nic nie wróci nam siły zużytej, białym krzykiem na miasta zduszone: przynosimy modlitwę zabitych, przynosimy charczenie zgonu.

Mgła na scenie zielenieje. Zieleń staje się pełniejsza, a kiedy dojrzeje w sobie, pochłania cień z karabinem i chór wystrzelonych armat. Niewidzialne echo zaczyna szepem:

Echo

I umrą ci, co śmierć przyniesli, ominie słowa krew i zbrodnie, i jeśli głód, to chyba co dnia milczące kroki syna cieśli...

*) Wiersz wyjęty z przygotowanego do druku tomu p. t. „Jesień”.



OLEUM PETRAE „GLIMAR”



Tadeusz Hollender

stości społecznej; z drugiej strony rdzeń utworów Hollendra jest niewolniczo zależny od swoich pierwowzorów. W syntezie więc jest Hollender „wyrodnym synem Skamandra”.

Neoromantyzm Lechonia („Karmazynowy poemat”) i profetyczny wydźwięk poematów Wierzyńskiego („Wolność tragiczna”) okazały się w perspektywie czasu i w obliczu nowych realizacji społecznych raczej chybione. Piękne wizje Lechonia, zachowując integralne wartości poetyckie, okazały się społecznie zbyt słabe wobec nieuchronnego ciągu wypadków dziejowych, burzących wizję nowej ojczyzny. To wszystko, co było u Skamandrytów zaczątkiem, opromienionym nadzieją lepszego, niezrealizowanego niestety jutra, znalazło u Hollendra swe częściowe rozwinięcie. Ciekawe są jego zależności ideowe od Lechonia. Gdy w „Herostratesie” Lechonia czytamy: „A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę...” i „I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżenim, czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę”, u Hollendra w wierszu „Ojczyzna” spotykamy podobne: „A zbudziłaś się oto matka jasnie panów, białorączków, rycerzy, pomników i księży” — i wreszcie „My pod twoje pomniki kładziemy dynamit, aby rozmiótł twe kłamstwa, a ukazał — Ciebie”.

Ostatni tom Hollendra stoi na pograniczu epiki i publicystyki satyrycznej. Wiele zresztą tłumaczy podtytuł: „Książka wierszem”. Po buntowniczym, epickim początku, gdzie majaczy przecucie nowej rzeczywistości społecznej, następuje egocentryczny wpływ liryczny i apologia poetyckiej domeny samotności. „Bo tu naprawdę niczego niema, noc ci jak strzala przesyje pierś, że ledwie możesz sobie samemu napisać taki samotny wiersz” — kończy poeta tom, wracając do własnej samotności i uznając swą klęskę. Ten odwrót jest bardzo charakterystyczny dla psychiki powojennego pokolenia inteligencji i gdyby nie początkowy charakter tomu, łatwo można by zidentyfikować Hollendra z linią ideową skamandryckich neoromantyków. W niektórych wierszach dźwięczą znajome echa Rimbauda, a nagrodzony na konkursie „Wiadomości Literackich” wiersz „Stulecie” jest formalną kontynuacją romantyków, z zaprzeczeniem ich linii *ideowej* i z infiltracją obrazową Lechonia.

„Ludzie i pomniki” są świadomym zamknięciem twórczości lirycznej i dopiero teraz dokładnie tłumaczy się zwrot Hollendra do satyry, jako do konkretnego wyrazu zrealizowania postulatów społecznych. Epigonizm Hollendra jest świadomy, o czym świadczy dedykacja tomu pierwszemu („Czas który minął”) oraz wiersz „Dedykacja” w „Ludziach i pomnikach”, który kończy się

LECH PIWOWAR

Wiersze z Dąbrowy Górniczej

DĄBROWA GÓRNICZA

Wyrywa się spośród domów czerwony pomnik ognia.
 Jak człowiek olbrzymi, który niesie niebo.
 To każdej nocy pęka serce huty,
 piec, armata rozpału!
 Miasto wypełnia się bitwą kolorów, paleta ogromna,
 której każdy milimetr uczy siły i gniewu.
 Jeśli tu wytchnąć krajobraz, to jak kraj rozpruty
 wojną, w której duchem zwyciężono ducha i ciałem ciało.
 Ptaki i drzewa, ludzie i chmury wrastają w grunt węglowy,
 człowiek-pomnik swego dzieła, ptak-serce swego cienia.
 Ich skrzydła tak samo jak ich głowy
 żywi biała krew elektrycznego promienia.
 Śnić urodzaje? Kto spać umie
 jak ziarno, już we własnej dojrzewa jesieni,
 która rodzi piękne maszyny oddychające jak dzieci
 i książki, które są jak człowiek w tłumie,
 a tłum się jak kryształ mieni,
 na każdej stronicie nową twarzą świeci.
 Tędy iść? Stąd wyfrunąć? Noc tu głodna,
 czarne niebo w plecy wrasta,
 spośród domów, w sercu miasta
 pomnik z ognia!

GDY NOC

Jak okreć wiatru na blaszanem morzu
 noc tonie między ludźmi, którzy tłuką szyby.
 Wśród gwiazd zerwanych z szyldu, na zranionych trotuarach
 głuchy taniec obcasów, szcęk lamanych noży,
 pieść o pieść, drze się serce, jedwabne skrzela ryby,
 drze się serce, nieżywe serce, szmata szara.

W strzępach oplutych krwią milknie ulica.
 Pikietyjący człowiek, którego twarz światło omija,
 prosty jak laska, zwiesił swe czoło niżej nóg,
 upuścił je w błoto, i kroki swe zlicza.
 Jeśli doliczy się trzech, wie, że żyje.
 Są kroki głośne jak trzy złote rzucone o próg.

Progu nie strzeże żadna przesadna podkowa.
 Świat — nie snem, kijem się świat mierzy:
 Otwórz głowę: pusta! I serce, serce podarte na strzępy!
 Lecz nie jak zwycięska chorągiew pułkowa,
 która choć zdarta bagnetem, wieje we krwi żołnierzy.
 Wszystko podarte i brudne. Każdy człowiek jak latarnia gaśnie za zakretem.

Wypowiedzmy sobie wielką bitwę na słonecznym polu!
 Niech nas wwidzie wiatr wojny w ostre prądy życia!
 Bijmy falą, która zalewa obfitością uczuć!
 Są przecież rany, które się kocha, chociaż najbardziej boją,
 są kłeski, które dają siłę, aby dalej bić się.
 Lecz tu, tu są tylko ręce, które w walce marzą o lodzieskim kluczu.

Opadają z dachów kęsy ziarnistego nieba.
 Zreć ten proch, wybuchnąc, blaszanem morzem śpiących dachów zatargać!
 Niech wszystko będzie inne, niech wszystko będzie młode!
 Lecz tu tonie noc wśród serc, którym sobie siebie wzajemnie nie trzeba,
 a nad nocą księżyc blade jak wargę,
 blade jak wargę człowieka otrutego głodem.

W oczach Zachodu

CIEKAWA PROPOZYCJA

Steve Passeur proponuje, aby wszystkie posiedzenia sejmu i senatu były nadawane przez radio; w ten sposób posłowie mówiliby rzeczywiście do całego narodu. Wiele tendencyjnych przekreślań i obłudnych komentarzy byłoby unieszkodliwionych, i wyborcy mogliby kontrolować swoich posłów.

PERSPEKTYWY WOJNY

Mija dziesięć miesięcy od chwili zbrojnego konfliktu japońsko-chińskiego. Wojna, którą Tokio zapowiadało jako krótką wyprawę karną pochłonięła już milion ofiar. Miljon Japończyków i trzy miliony Chińczyków są pod bronią. Rząd chiński przewiduje, że może jeszcze wystawić pod broń pięćdziesiąt milionów Chińczyków. Niektórzy wojskowi fachowcy chińscy twierdzą, że ponieważ trzeba trzech Chińczyków do uśmiercenia jednego Japończyka, a w tej proporcji Chińczycy są liczniejsi — jest możliwość zupełnej klęski Japończyków.

W AUSTRII

Około 70 tysięcy Austriaków znajduje się w obozach koncentracyjnych. Wszyscy wybitniejsi obrońcy niepodległości Austrii są uwięzieni i zmuszani do robót takich, jak n. p. mycie samochodów urzędowych. Taki był los pułkownika Adama, szefa propagandy Frontu Ojczyźnianego. Po pewnym czasie zrobiono z pułkownika służącego i kazano mu myć okna. Nieprzywzyczajnie

do takiej pracy, pułkownik Adam myjąc okno na 5 piętrze utracił równowagę i zabił się.

Równocześnie były jego dowódca Ludwig skazany jest na mycie klozetów w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Poraz pierwszy górale Vorarlbergu i Tyrolu muszą jeść margarynę. Nawet właściciele wielkich trzód nie mogą zachować dla siebie masła, które jest rekwirowane.

W HISZPANII

Samoloty generała Franco urządzają naloty na Barcelonę w godzinach targu. Jednego dnia zrzuciły bomby na sam targ. Zginęło wtedy około 500 osób, w czym przeważnie kobiety.

Alvarez del Vayo, minister spraw zagranicznych i stały delegat Hiszpanji przy Lidze Narodów przypomina, że wbrew powszechnemu niedowierzaniu zapewniał w 1936 roku, że Madryt nie padnie. Dziś jest też przekonany, że chociaż wojska rebelji odnoszą zwycięstwo, lud hiszpański pewny jest wygranej i odmawia wszelkiej medjacji, któraby odbierała prawo do bronięcia wolności w własnej ojczyźnie.

GEST FILANTROPA

Edward Tuck, wielki filantrop amerykański zmarł w 96 roku życia. Paryż nadał mu kilka lat temu obywatelstwo honorowe, na które dobrze sobie zasłużył, gdyż obdarował muzeum tego miasta kolekcjami wartymi ponad sto pięćdziesiąt milionów; wiel-

POWSTAWANIE

1.

Przez ciało wiersza świecą żyły płomienia.
 Wiersz, jak z cegły, czerwony, ocieka sztandarem.
 Ludzie, stworzeni nagle, obejmują słowa,
 pokalanemi dłońmi, ludnemi jak ziemia
 wyrabiają najkłęwszą pieszczotę i przemieniają ją w wiarę,
 która lśnięciem tętnicami przeszywa świat wielogłowy.

Nadeszły dni poetów, są wszędzie!
 Gdzie słupami iskier wjeżdżają w noc pociągi,
 powstają miasta dymów parujących z dłoni
 i wesoly lud brzęków żelaza obsiada nieurodzajne miedze,
 buduje swe nowe mieszkania i karmi się ogniem
 jak gorące wargi czerwonym.

Poemat to dom pełny wygody.
 Wanna cudów, z której srebro paznokci woniami się wylewa
 w biblioteki gdzie myśli białe i zdrowe jak mięśnie.
 Ze ścian lustro, oko źródlanej wody,
 chwytą spojrzenia rozgałęziające się jak drzewa.
 Dom szeroki, jeśli go zbudować z pieśni.

Zbudować z pieśni, zbudować z marzenia!
 Kłaść słowo po słowie w tęgie mury
 i wiechę wystrzoić z tyłu kolorów ile cegieł nanieśli murarze!
 Wtedy przez ciało wiersza błysną ceglaste płomienie
 i biały oddech spoczynku wzleci w górę
 gdzie słońce tylko nad ziemią i tylko na straży.

2.

Ani jednego słowa, któreby nie było wparte w łożysko!
 Każdym nerwem kieruje przenośnia.
 Słowa, choć mają skrzydła, nie są siostrami jaskółek
 i w błękit nad dachami wpinają się tylko iskry.
 Lecz gdy pod nogą ziemia zapłodniona człowiekiem rośnie,
 jak obłok lauru nad skronią wieńczy się nad dziełem pulap.

Wszystkie sny są tylko barometrem pogody.
 Czerwony znak gorączki krzyczy radosną zwykłą.
 I niema nocy, niema nocy, nigdy nie będzie nocy!
 Tylko spokój odmiany na falach tylko modrych,
 tylko modry sen, kiedy świat odmienia swoje zmęczone nazwisko,
 jak kobieta, która z dniem nowym odnawia oczy, usta i włosy.

Ani jednego słowa, któreby nie miało sprężyny
 jednym końcem wpiętej w serca ujarzmione dziwy
 a drugim skręcającej w serce maszyny gorącej od nowych pragnień.
 Serce śpiewa jak robotnik szczęśliwy,
 kiedy wlewając wódkę w szerokie i dźwięczące swoje imieniny,
 widzi przed sobą czasy tak ciepłe, że staje przy warsztacie nagi.

Teraz słowa są zadymionem świętem
 płynącym przez szkła okien rozjaśnianych tylko wołą.
 Dni teraz zamurwane jak łaza w miljonerskim pierścieniu.
 Jutro staną się wesolym sprzętem
 w białym pokoju wysłanym białym chlebem i białą solą,
 wesolym sprzętem marzenia!

Ani jednego słowa, któreby nie kłuło w mięśnie serca tak ostrą wiarą
 jak igła kompasu wskazującego kierunek zabłąkanym w chmurach.
 Błądzić w obłokach, które dymi komin każdej fabryki,
 to jakby przyłgnąć ustami do walczącego sztandaru,
 który porywa ludzi i ich dzieła tam w górę,
 gdzie czyste słońce rozwiesza niebo na zasłonach z miki.

Gdy wzbija się z ziemi praca i lotu swojego nie zniża,
 nie zatrudniajmy ptaków, samoloty rozniosą ostatnie wiosny orędzie.
 Jak przepiona kurczy się przestrzeń kiedy człowiek się śmieje
 i, zwycięska biegacz, widzi coraz bliżej
 złote taśmy horyzontu, które przerywa w pędzie,
 wdzierając się błyskawicą w swoje przyszłe dzieje.

kiemi sumami zasilili kasy Miasta Uniwersyteckiego, Akademji Nauk i Ochronek.

Złotemi literami na ścianach pokoju miał wypisane zdanie Franklina: „Lata mijają i ostatni rok się zbliża. Chciałbym, aby mówiono o mnie, że żyłem pożytecznie, a nie, że umierając, byłem bogaty“.

SPRAWA OSSIETZKY'EGO

— Czy jest pan szczęśliwy — pytali Ossietzky'ego nieliczni Niemcy, którzy mieli odwagę zostać jego przyjaciółmi. — Wolałbym być dostać nagrodę Nobla za literaturę. Zdaje mi się, że byłem stworzonym, by przeżyć wszystkie radości i smutki artysty. Okoliczności odwiody mnie od tego, ale nie przestaję żałować, gdyż miałem duszę powieściopisarza.

Ossietzky był miłośnikiem literatury francuskiej i najwięcej cenil „Le rouge et le noir“ Stendhala i „Education Sentimentale“ Flauberta.

Narodowi socjaliści nigdy nie przebaczyli Ossietzky'emu tego zdania, które napisał w r. 1929:

„Wydaje się, że wiecznym przeznaczeniem Niemiec jest, iż nigdy nie będą mogły przekroczyć intelektualnych form państwa militarnego“.

WE FRANCJI

Pesymiści francuscy przewidują, że następny atak Mussoliniego nastąpi na Tunis, gdzie na 100.000 Francuzów jest 95.000 Włochów, zajętych na roli i w fabrykach.

Prawica francuska nawet za cenę narodowej klęski sprzyja Niemcom i Włochom — byle szkodzić własnemu rządowi: wyliczając cudzoziemców, których należałoby z Francji wydalili, nie wymienia właśnie Włochów.

MUSSOLINI NIEZADOWOLONY

W czasie wizyty niemieckiej w Rzymie, obaj dyktatorzy mieli ze sobą rozmowy, których treść została podana do prasy w zwykłych, nie mówiących komunikatach oficjalnych. Nikt nie może się pochwalić, że wie coś więcej o tem, jakie decyzje powzięli i jaki był ich wzajemny stosunek do siebie. Z przypadkowej obserwacji wynika jednakże, że rozmowy odbyły się z korzyścią dla Hitlera. Córka Mussoliniego, hrabina Ciano, obserwując w dniu rewji morskiej w Neapolu ojca, miała szepnąć z miną rozgoryczoną: „Papa rzezi...“.

Kilkudziesięciu studentów uniwersytetu rzymskiego zesłano na wyspy Liparyjskie, ponieważ przygotowywali dla Hitlera „przyjęcie“ mniej entuzjastyczne od przyjęć oficjalnych. Mussolini tworzy falangę młodych męczenników, która jednego dnia zadecyduje o jego losie...

W dniach 18 i 19 czerwca b. r. odbędą się we Lwowie VI-ty z rzędu zjazd polskiego księgarstwa.

Obrady Zjazdu tego poświęcone będą przede wszystkim badaniu zagadnienia zbyt małej rentowności księgarń detalicznych. Z zagadnieniem tem związana jest, w porównaniu ze stanem w innych krajach europejskich, najniższa w Polsce cyfra ilości i opłacalności księgarń w stosunku do ilości mieszkańców, miast, szkolnictwa itd. W programie Zjazdu przewidywane jest także wielkie zebranie publiczne z zaproszonymi przedstawicielami władz, nauki, literatury i prasy pod hasłem i na temat:

„Kulturalne i gospodarcze znaczenie księgarstwa“.

Dalsze szczegóły dotyczące Zjazdu podane będą w odpowiednim czasie do ogólnej wiadomości.

WYSTAWA KU CZCI STRUGA

Wystawy literackie były doniedawna banalnym i nudnym zestawieniem książek, okraszane gdziennymi przygodnymi dokumentem z życia pisarza. Trzeba było być nielada miłośnikiem i znawcą literatury, aby przebrnąć z pożytkiem przez gąszcz niepotrzebnych i zachwaszczających jasność widzenia szczegółów. Światowa wystawa paryska w r. 1937 po raz pierwszy dała przykład pokazów literackich, w których twórczość pisarza i jego życie uaoznaczono były plastycznie w jednej umotywowanej koncepcji.

Urządzona przez Związek Bibliotekarzy w Bibliotece Publicznej w Warszawie wystawa „Twórczość literacka Andrzeja Struga“ nie tylko nie jest słabsza od paryskich pierwowzorów, lecz przewyższa je pod wieloma względami. Pokaz urządzony jest w sali spokojnej i jasnej, nastrojającej do wniknięcia w zebrane eksponaty. Wszędzie

gi kartek, co pozwalało mu orientować się w trakcie pracy w podziale tematycznym rękopisu. Różnobarwne ołówki ułatwiają rozdzielanie od siebie poszczególnych linii wątku powieściowego. Chaotycznie zbierane notatki układają się w logiczny system. Powoli zarysowuje się trzon główny powieści, postacie nabierają ciała i charakteru. Autor przetrwaja każde zagadnienie psychologiczne, zmaga się ze sobą zanim da wreszcie zakończony obraz sytuacji i człowieka. Pierwsza korekta to dla Struga jeszcze nieukończony proces pisania. Dopiero po niezliczonych walkach z czerem i drukarnią dzieło staje się takie, jakiemuś chciał je widzieć. Nawet okładka była dla Struga problemem. Kazał sobie przedstawiać najrozmaitsze koncepcje i często własnoręcznie nadawał układ graficzny.

W tej samej gablocie znajdują się głosy krytyczne powieści, zamieszczone w pra-

zagłębi się w czytanie listów, notat, cytów, i często wróci, aby ją powtórnie obejrzeć.

Materiał zgromadzony w większej ilości na jednym ekranie pozwala odpocząć przy następnym, gdzie ograniczenie jego do minimum daje możliwość wymowniejszego opracowania plastycznego. Tablica zatytułowana „Legjony“ pokazuje marszruta Struga w pięknie opracowanej mapce plastycznej, na której ważniejsze wydarzenia i miejscowości zobrazowane są fotografiami, napisami lub kartą z dzienniczka.

Poprzedz pierwsze chwile niepodległej Polski, rok 1918, udział w Rządzie Lubelskim narastają dokumenty, łączą się z pracą w

związkach literackich, tworząc jakby reportaż z ostatnich lat życia pisarza, naszkicowany tylko w nagłówkach dokumentów.

Związkowi Bibliotekarzy z projektodawczynią i główną organizatorką wystawy p. Wandą Dąbrowską na czele, należy się wielkie uznanie, tem większe, że po raz pierwszy wzięto do współpracy plastyków, co w skutkach pokazało, jak duże znaczenie posiada piękne i czytelne ujęcie eksponatów.

Halina Centkiewiczówna i Leon Michalski potrafili wczuć się intensywnie w powierzoną im pracę, wykonali ją bez zarzutu i w sposób wysoce artystyczny.

S. I. C.

K O R E S P O N D E N C J A

W SPRAWIE PANSEKSUALIZMU

Do redaktora „Sygnałów“

Artykuł Jerzego Boreiszy p. t. „Obcy nurt“ jest sugestywny i aktualny. W pierwszym momencie, po przeczytaniu, zdaje się, że można go w całości przyjąć lub w całości odrzucić. Później jednak nasuwa się czytelnikowi trzecia możliwość. Przyjmuje artykuł z pewnymi zastrzeżeniami.

Zastrzeżenia te odnoszą się przede wszystkim do tych fragmentów artykułu, w których Boreisza omawia panseksualizm Zegadłowicza. Powstała tutaj spora luka, a za tem idzie znaczne uproszczenie zagadnienia panseksualizmu w twórczości po-„Zmorowej“ Zegadłowicza. W pierwszym rzędzie niemiłe zaskakuje czytelnika nonszalanckie potraktowanie przez Boreiszę „rozdarcia“ między twórczością Zegadłowicza a publicystyką, w najszerszym tego słowa znaczeniu. Eleganckie uchylenie kapelusza przed tragizmem tego rozdarcia nie daje czytelnikowi odpowiedzi na pytanie, jakie są przyczyny tego rozdwojenia. Nie wolno nad tem tak łatwo przechodzić, tem bardziej, że Boreisza z jednej strony wyraża pobożne życzenie, aby Zegadłowicz zawrócił z fałszywej drogi, z drugiej zaś strony przekreśla to nawrócenie, używając przytem znakomitej metafory, że „...pazur społecznych przemian wygrzebał dla siebie najlepsze ziarno“.

Fakt, że istnieje przed-„Zmorowa“ twórczość o charakterze „świątkowo-religijnym“, że Zegadłowicz był przez dłuższy czas redaktorem katolickiego tygodnika „Tęcza“, powinien być hamulcem w pospiesznym szeregowaniu: Ewers, Céline, Boy, Zegadłowicz.

Boreisza podkreśla, że na jego warsztacie rozpatrywany jest tylko ostatni odcinek twórczości Zegadłowicza. Naturalnie, że należy tak czynić, aby nie rozpraszać się, ale pod warunkiem, że poprzez analizę wycinka nie nastąpi zniekształcenie całości.

W twórczości Ewersa czy Céline'a nie ma „wilczych dołów“. Droga ich twórczości jest równa, gładka i prowadzi w kierunku reakcji polityczno-społecznej. Przed-„Zmorowa“ twórczość Zegadłowicza, to „spory wilczy dół“. Schematowi Céline'a: najpierw oburzenie reakcyjnych kół na Céline'a przez te same reakcyjne koła, nie odpowiada schemat Zegadłowicza. Książki Zegadłowicza z okresu przed-„Zmorowego“, afirmowane przez oficjalną krytykę, idą na auto-dafé... makulaturowe. W całej Polsce odbywają się sądy nad Zegadłowiczem.

Przytaczając powyższy moment, nie zamierzam oczyszczać Zegadłowicza z jego „pierworodnego grzechu“: „Napewno nie jest rzeczą przypadku, że głód takiej literatury w obecnym okresie zaspokajają Emil Zegadłowicz i Boy-Żeleński. Pazur społecznych przemian wygrzebał dla siebie najlepsze ziarno“. Chcę tylko podkreślić, że paralelizm: Céline, Zegadłowicz kuleje lekko na tym odcinku. Twórczość po-„Zmorowa“ Zegadłowicza jest bezspornym faktem. Nie jest ona realistyczna — to też fakt. Ale czy diagnoza postawiona przez Boreiszę jest w całej rozciągłości słuszna? Czy nie zaciążyło nad nią fatalistyczne zdeterminowanie?

Boreisza stwierdza, że „Zmory“ były... „bezsprzecznie wyrazem wyzwolenia się i odrzucenia przytłaczającej rzeczywistości“. Rozprawienie się ze sobą samym nie jest rzeczą łatwą. I właśnie od tej strony można byłoby ująć ostatni okres twórczości Zegadłowicza. W ten sposób przy stwierdzeniu szeregu elementów reakcyjnych w twórczości Zegadłowicza możemy odrzucić jej fatalistyczne zdeterminowanie. Takie ujęcie bynajmniej nie nasuwa mi się ze względu oportunistycznych: nie zrażać pisarza...

Andrzej Ruszkiewicz (Warszawa)

ODPOWIEDZ

Do redaktora „Sygnałów“

Rozprawa „Obcy nurt“ miała zgóry wyraźnie określone ramy, a celem jej było „wskazanie ogniw przyczynowych, łączących panseksualizm z pewnym uszeregowaniem zjawisk społecznych“. Zatem przedmiotem analizy był nie całokształt twórczości Emila Zegadłowicza, ale tylko odcinek po-„Zmorowy“; odcinek ten nie był badany wszechstronnie, ale tylko z jednej strony, mianowicie z punktu widzenia ideologii utworu, jak również i „klimatu czytelnictwa“. Tem samem, skoro praca nie była poświęcona wszystkim zagadnieniom, z konieczności niektóre zostały pominięte lub też wspomniane mimochodem. Nie ozna-

cza to, rzecz prosta, że sprawy pominięte, jak na przykład formalna strona twórczości Emila Zegadłowicza, lub sprawy, o których wspomniano mimochodem, jak na przykład „rozdarcie“ zostały „nonszalancko potraktowane“, bądź też, iż krytyk „nad tem lekko przeszedł“. Przecież Emil Zegadłowicz w swej odpowiedzi, pełnej kurtuazji, okazał wiele głębokiego zrozumienia dla trudnej pracy krytyka, pisząc: „stwierdzenie jednostronne, ale ta jednostronność jest zamierzona i kilkakrotnie przez krytyka akcentowana“.

„Rozdarcie“ zaciążyło nie tylko na twórczości Emila Zegadłowicza, ale również i na poezji (n. p. Lucjana Szenwald), jak również i na malarstwie (n. p. „Górny Śląsk“ Linkego). Albowiem wielopłaszczyznowość elementów twórczości nie przesądza sprawy ich jednokierunkowości: nie tylko forma może klócić się z samą treścią, ale czasem również elementy formalne są ze sobą skłócone. Owo rozdarcie odzwierciedla często zygakowatą linię rozwoju twórcy, który odbywa proces przechodzenia z jednej pozycji społecznej na drugą. Jest to zjawisko tak wielkiej wagi, iż wymaga osobnego omówienia. Również w czasie najbliższym zostaną omówione sprawy pewnych formalnych elementów twórczości współczesnych powieściopisarzy.

Jeśli więc w „Obcym nurcie“ wspomniano tylko mimochodem o tem rozdarcu między polityczną i społeczną postawą pisarza, a jego literacką twórczością, jeśli mowa była o procesie wynaturzenia, uczyniono to właśnie w celu odgraniczenia się od wszelkiego fatalistycznego zdeterminowania.

Panseksualizm musi prowadzić do obozu reakcji, ale Emil Zegadłowicz może właśnie dzięki owemu rozdarcu od panseksualizmu odejść. Nurt panseksualistyczny, obcy socjalizmowi, będąc jednym z jego przejawów wielopłaszczyznowej twórczości pisarza może doprowadzić do konfliktu z elementami postępowymi, które przewyżczą ten obcy, być może i dla samego Zegadłowicza, nurt.

Zastrzeżenia w stosunku do uszeregowania: Ewers - Armand - Céline - Boy-Zegadłowicz, wynikają z niezrozumienia istoty każdej pracy porównawczej, która musi przeciwieście się na pewnej przyjętej „zasadzie podziału“. Zasadą podziału w „Obcym nurcie“ jest sprawa panseksualizmu, oraz sprawa patalnych elementów socjopsychicznych w masie czytelnictwa. Tę oto diagnozę uznał Emil Zegadłowicz za słuszną, można jednak, na płaszczyźnie tejże zasady podziału zwalczać słuszność uszeregowania. Ale należy pamiętać o tem, że, jeśli pewne elementy twórczości są powtarzalne, nie oznacza to, że twórczość w swym całokształcie jest identyczna. A więc skrzyżowanie się twórczości wspomnianych autorów w punkcie: panseksualizm, nie oznacza, że droga do punktu skrzyżowania była ta sama i że droga po punkcie skrzyżowania musi być ta sama. Powtarzalność elementów przyjętych jako zasada podziału nie oznacza również, iż krytyk identyfikuje wysoki poziom artystyczny Emila Zegadłowicza z poziomem takiego Ewersa lub takiego Céline'a.

Zdawałoby się, że te elementarne zasady pracy analitycznej powinny być ułatwić zrozumienie istotnych intencji krytyka. Skoro autor odniósł się z taką kurtuazją do pracy krytyka, szukającego obiektywnych kryteriów, należy przypuszczać, iż ta europejska postawa znakomitego pisarza zaważy na poziomie dalszej dyskusji.

Jerzy Boreisza (Warszawa)

SPRAWA MONTHERLANTA

Do redaktora „Sygnałów“

W związku z artykułem Jerzego Rauty „Pisarz opętany“ („Sygnały“, nr. 45), nasuwa się kilka zastrzeżeń. Henry de Montherlant pierwszy tom poezji wydał w 1922 r., zaś powieść „Songe“ także w 1922. Toteż gdy w 1924 r. ukazał się jego cykl olimpijski, krytyka nie mogła cieszyć się, iż „wielki pisarz i naprzykrzony buntownik“ wszedł na dobrą drogę, orzec „mniej więcej zgodnym chórem, że autor „Snu“ powraca po latach neurastenji i amoralizmu do tak cenionej przez nich rozważli i różnowagi“.

Tem bardziej nie wyobrażam sobie możliwości nawet fikcyjnej rozmowy panów H. P. i L. S., po wyjściu „Aux fontaines du désir“ (1929 r.). Augurowie są dość ostrożni, nie spieszą się wyznaczyć autorowi jego miejsca pod słońcem; oburzenia za jakoby uczyniony im zawód — „nawrót do



Ogólny widok wystawy

fol. J. Łukasiewicz

kwiaty bez których Strug nie mógł się obyć w czasie pisania.

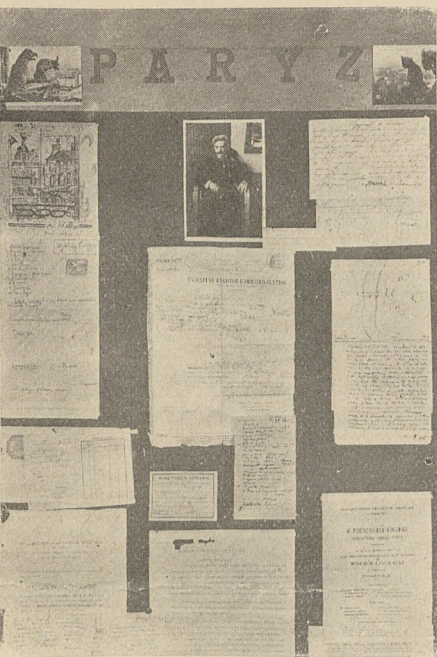
Wystawa podzielona jest na dwa działy. Pierwszy „Twórczość literacka Andrzeja Struga“ zawiera: 1) rękopisy, 2) pierwodruki, 3) komplety dzieł w układzie chronologicznym i tematowym, 4) przekłady na obce języki, 5) etapy powstawania dzieła literackiego, 6) biografję prac Struga, 7) obraz poczytności dzieł Struga w publicznych bibliotekach warszawskich.

Drugi dział obrazuje życie Andrzeja Struga w ikonografji i licznych dokumentach. Uwzględnione są szczególnie te okresy, które wiążą się ściślej z jego twórczością pisarską.

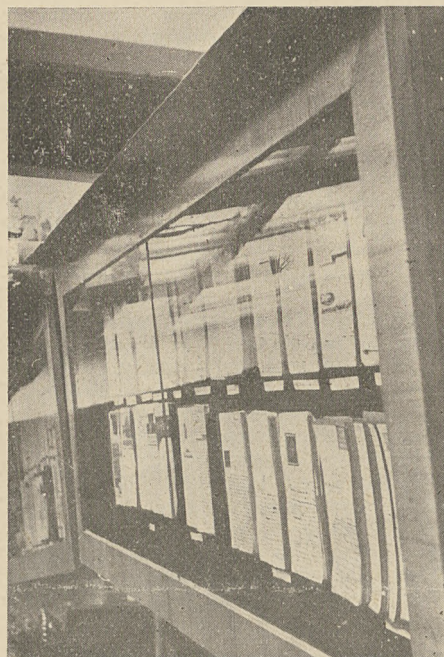
Płaszczyzny ekranów i wnętrza gablot, z świetnie ułożonymi dokumentami w barwnej oprawie, fotografjami i t. p., pociągają wzrok swą pięknnością. W pierwszej gablocie pierwodruki w układzie chronologicznym pozwalają zorientować się w pracy pisar-

skie polskiej i zagranicznej. W pokazie „Układ tematyczny“ przedstawiono, jakie zagadnienia najbardziej nurtowały myśl Struga: wielka wojna, walki o niepodległość, sprawy społeczne. W przekładach zwraca uwagę wielka księga, posiadająca zamiast liter wypukłości — to książka dla niewidomych.

Na ekranach, jak w kalejdoskopie, przesuwa się życie Andrzeja Struga, wielkiego piewcy bohaterskiej epopei polskiego socjalizmu, żołnierza Pierwszej Brygady, działacza społecznego. Na pierwszym, maleńki Tadeusz z psem, wiernym towarzyszem zabaw dziecięcych. Potem cenzurki z pierwszych klas, matura w Lublinie, pobyt w Instytucie Puławskim. Prace w tajnych kółkach uczniowskich i czytanie bibuły rewolucyjnej znajdują odbicie w rozpiętej książce „Dzieje jednego pocisku“. Każdy dokument ożywiony jest fotografją. Dyskretne zaznaczenie zapomocą kolorowych listewek lub stłumie-



fol. „Arkady“
Okres paryski Struga



fol. J. Łukasiewicz
Dział rękopisów

skiej Struga. Dla niezających lub nie pamiętających treści dzieł leżą notatki z ich skrótami. Rękopisy zachwycają piękną formą podłużnych kartek z różnorodnymi inicjałami i pomocniczymi kolorowymi notatkami.

Znakomita jest plastyczna analiza procesu twórczego Struga przy pisaniu powieści. Jako przykład wybrano „Żółty Krzyż“. Na półkach leży lektura wstępna i dokumentacyjna pisarza. Rzecz dzieje się w okresie wielkiej wojny. Strug gromadził więc pamiętniki, biografje, szkice historyczne. 80 pozycji, to zaledwie część materiału do napisania jednej książki. Strug nie robił notatek, polegał na swojej świetnej pamięci.

Pokolei śledzimy przygotowanie materiału i technikę tworzenia. Strug najpierw gromadził zapas podłużnych kartek o specjalnym formacie. Zadanie kompozycyjne

ułatwiał sobie kolorując własnoręcznie brzo- nie przez przysyonięcie niektórych eksponatów ułatwia orientację w zwiędzaniu wystawy.

Pobyt w Cytadeli zaznajamia z pierwszymi próbami literackimi Struga. Okres studiów uniwersyteckich w Krakowie i rok 1905 w Warszawie dostarczają wiele materiału, mówiącego o intensywnym udziale Struga w ruchu rewolucyjnym. Tutaj przedstawiono, jakie etapy przeszedł jego pseudonim literacki, aby z nazwiska Tadeusz Gałęcki przerodził się w Andrzeja Struga. Tutaj też zjawia się towarzysz August, działający w P. P. S.

Układ plastyczny, który samym kolorem nadaje pewne znaczenie symboliczne (np. rok 1905 na czerwonej barwie, „waka-cje w górach“ na zielonej, kronika pośmiertna na czarno-białej) jest tak dobry, że łatwo i z przyjemnością zwiędzający wystawę

banalnego grymasu Chateaubrianda" — nie wyrażaliby w pogwarkach, tonem tak niewłaściwym duchowi ich języka.

Wbrew twierdzeniu Jerzego Rauna Montherlant poszedł śladami André Gide'a, który w „Podróży do Kongo“ wystąpił przeciw imperjalizmowi francuskiemu. Świadczy o tem książka „Service inutile“ (1935). W tym zbiorze artykułów przez blisko lat 10 rozrzuconych po pismach, Montherlant zaznacza, iż sposób, jaki metropolja sprawuje rządy w Północnej Afryce — a zna ją dobrze — nazawsze „zbuntował“ go przeciw wszelkiemu gwałtowi. Wzywa do postawienia pomnika czarnemu żołnierzowi, niegdyś broniącemu tę ziemię przed „obcymi“ najeźdźcami. Montherlant długo wahał się, czy należy dyskredytować ojczyznę wkońcu wyrzekł się stypendjum państwowego, aby móc wypowiedzieć z całą swobodą swoje oskarżenie. Redakcja „Revue des deux mondes“, dla której była przeznaczona powieść „Rose de sable“, osnuta na tle życia w Marokku, wycofała się z powziętych zobowiązań. Autor umieścił tylko w niektórych pismach fragmenty. Widać w nich surowy sąd o polityce kolonialnej Francji.

W „gorączkowym huku wypadków“ znajduje się też głos Montherlanta, choć nie dosłyszał go Jerzy Raun. W jesieni 1935 r. podpisaniem manifestu w obronie lub przeciw Abisynji, pisarze francuscy określili swoje stanowisko. Protesty zgrupowały ludzi nie tylko myślących i czujących tak samo, ale i pragnących, żeby ogół wiedział, do jakiego należą obozu. Montherlant stanął w szeregu pisarzy Frontu Ludowego, w ten sposób zaznaczył, z kim się solidaryzuje.

Jak to pogodzić z „opętanym pisarzem“ Jerzego Rauna? W przedmowie do drugiego wydania „Jeunes filles“ Montherlant, pytając, sam daje odpowiedź: „Dlaczego w oczach pewnej kategorii czytelników i krytyków ja jestem Costa, próżny, dumny, wróg przymusu, okrutny, a nie szlachetny bohater „Rose de sable“. W bogactwie swem jest jednym i drugim“.

Aura Wyleżyńska (Warszawa)

★

K. L. Warszawa. „Spostrzeżenia“ nie będą umieszczone.

S. B. Warszawa. Z artykułu „Karol Marx a niepodległość Polski“ nie skorzystamy.

Gea. Słonim. Wiersze nie będą drukowane.

Andr. R. Warszawa. Prosimy o porozumienie się z redakcją i podanie adresu.

I. A. Lwów. Raczej do kosza.

M. Br. Łódź. Artykuł nie będzie drukowany.

J. R. Lwów. Prosimy o porozumienie się.

* * *

W poprzednim (45) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 maja: Stanisław Witkiewicz: Myśli wybrane — Anna Kowalska: Rzeczy pierwsze. — Vindob: Carl von Ossietzky. — Czesław Halicz: Kronika jednego życia. — Ignacy Fik: Proletariat w literaturze polskiej. — Tadeusz Hollender: Oświadczenie skierowane do endeków. — Marjan Czuchnowski: Zbóje i chłopci. — Jerzy Wyszomirski: Mgła i prawda. — Jerzy Raun: Pisarz opętany. — Marja Koszyc-Szołajska: W błędnierskim kole. — St. J. Lec: Maksyma. — K. K.: Nagroda literacka Lwowa. — Pierwszy Maj we Lwowie. — Sprawa Stefanji Sempołowskiej. — W oczach Zachodu. — Karol Baraniecki: Przełom (rys.). — Korespondencja (Emil Zegadłowicz). — 8 stron. 4 ilustracje.



Carl von Ossietzky

SZPILKI

najlepszy tygodnik satyryczny
Warszawa, W. Górskiego 6



Wilhelm Bruchnalski
emerytowany profesor uniwersytetu Jana
Kazimierza, otrzymał lwowską nagrodę
literacką.

Przegląd prasy

Ateneum (nr. 3) staje się najpoważniejszym czasopiśmie, poświęconem sprawom kultury, przede wszystkim zaś literatury. W ostatnim tomie znajdujemy parę godnych uwagi prac. Wacław Borowy pisze o Elżbiecie Drużbackiej, poetce XVIII wieku. Szczególnie interesowały ją sprawy erotyczne, co było w owych czasach czemś nowym i niezwykłym. O Schopenhauerze krótko pisze Karol Irzykowski, o zagadnieniu narodowym w „Korsarzu“ Conrada Rafała M. Blüth. Obszerne studium o katolickim poecie francuskim Chales Péguy zamieszcza Marja Winowska. W dziale recenzyjnym warto przeczytać bezlitosne omówienie poezji Wojciecha Bała przez Ludwika Frydego i Juliana Rogozińskiego, oraz ocenę ostatniej książki Kadena-Bandrowskiego „Życie Chopina“ przez Konstantego Régamey'a. Dużo miejsca poświęcono poezji. W ubogim życiu kulturalnym Polski „Ateneum“ jest placówką poważną i godną uznania.

Ukazał się pierwszy zeszyt Przewodnika literackiego i naukowego. Jest to biuletyn dwumiesięczny pod redakcją Wandy Dąbrowskiej, omawiający inteligentnie, bezstronnie i rzeczowo nowości wydawnicze ze wszystkich dziedzin. Wydawnictwo jest dobrze redagowane, będzie pożyteczne nie tylko dla bibliotekarzy, ale dla każdego, kto interesuje się piśmiennictwem i ma żywszy kontakt z książkami.

Młoda Myśl Ludowa jest organem ideowo-teoretycznym Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici“. Ostatni numer dużo miejsca poświęca sprawom zagranicznym (Litwie i Niemcom). Omówienie Kongresu Stronnictwa Ludowego zostało w całości skonfiskowane.

Światło (nr. 4—5) przynosi szereg interesujących artykułów: Kazimierza Czaplińskiego „Po aneksji Austrii — nowa Europa“, Jana Krzesiawskiego „Środkowa Europa płonie“, prof. J. Łazowskiego „Ludwik Krzywicki“, K. Wiśniowskiego „Przeobrażenia Z. S. R. R.“, Natalji Zarembiny „Praca artystyczna w szeregach robotniczych“ i t. d.

Czarno na Białem jest jednym z najżywiej redagowanych pism demokratycznych. Każdy numer przynosi bogaty materiał społeczno-polityczny i aktualny. W ostatnich numerach Marja Dąbrowska umieszcza reportaże „Cztery dni w Lubelszczyźnie“.

Epoka rozwija się coraz lepiej. Z dwutygodnika stała się pismem dekadowym (ukazuje się trzy razy w miesiącu). W nr. 15 zasługuje na uwagę słynny artykuł Michała Jordana „Krytyka literacka, która boi się prawdy“. Autor występuje przeciw protekcjonizmowi i „nepotyzmowi“ politycznemu lub osobistemu krytyków. „Krytyk musi widzieć zjawiska pozytywne także w utworach pisarzy, którzy są nawet najbardziej dalecy od jego stanowiska społeczno-politycznego, a z drugiej strony nie wolno mu zamykać oczu na błędy, niedomagania i poślizgnięcia się autorów, bliskich mu ideowo“. Dotąd nie umiano ocenić wielkiego dzieła Dąbrowskiej, nie zauważono i nie zainteresowano się wspaniałym cyklem powieściowym Zofji Kossak o krucjatach. Demokracja jest zrośnięta z wszystkimi wielkimi przejawami kulturalnymi życia narodu.

Albo-Albo (nr. 8) inteligentnie i żywo redagowany dwutygodnik, zamieszcza prace: Marji Żeromskiej „Polityka w literaturze“, prof. Zygmunta Mysłakowskiego „Jednostka w epoce przejściowych form społecznych“, Bolesława Dudzińskiego „Gerhardta Hauptmana — ewolucja duchowa“, Zygmunta Jarosza „Dwie broszury o Chinach“, Marji Bruzdy „Pod murami św. Trójcy“, Marji Koszyc-Szołajskiej „Modlitwa ziemi“.

Popieraj turystykę

I

Drogi, sympatyczny panie M.
cieszy się pan ogromnie
i nie myśli pan o mnie —
wiem.

Bo przyjechał ktoś do pana w gości
z kresów;
dla interesów
i dla przyjemności.

A ja jedną myśl przedłożyć chcę —
dla pana i pańskiego dygnitarza.
Może pan ją przyjąć, albo nie
— proszę, rób pan tak jak pan uważa.

Skonfiskowano

Więc ja jedną myśl przedłożyć chcę —
dla pana i pańskiego dygnitarza.
Może pan ją przyjąć albo nie.
Proszę, rób pan tak jak pan uważa.

Już rozumie pan, już widzi pan, aha!
Chcę, by gość ten pański, pan A. H.,
również poznał wzniosły lot i polot.
Więc go weź pan z sobą na samolot.
Leć z nim w błękit italskiego nieba.
(Spójrz do środka, czy tam czeka raj cię?)
A spowrotem spieszyć się nie trzeba.
Nawet wie pan: wcale nie wracajcie!

II

I będą czekać tłumem entuzjaści,
i będzie czekał fotograf „Światowida“.
Aż wreszcie cała rzecz się dziwną wyda,
i ktoś zabierze głos
i powie: „Naści
los!“
Jeszcze „Heil!“ — „Hoch!“ — „Eviva!“
(Ktoś zakrzyknie.)

Potem zgiełk się robi, gwar i szum.
Ktoś pomyśli: „W domu zupa stygnie“,
i do domu pójdzie cały tłum.

A entuzjaści ruszą lawą
na lewo i na prawo
ku domowi.

Najpierw — entuzjaści darmowi,
a potem — płatni.
Aż wreszcie policjant ostatni
pójdzie do kina.
I na placu zostanie rodzina...

III

To wszystko już nie może się wydarzyć.
Panie cenzorze!
Może
pozwoli mi pan pomarzyć.

Leonid Fokszański



rys. Fr. Parecki

Nike republikańska